

ALEXANDRE DUMAS

1812-1870

WOJNA KOBIECA

POWIEŚĆ

WOJNA KOBIECA

WARSZAWA

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY WYDZIAŁU PEDAGOGICZNEGO

1933

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

WOJNA KOBIECA

POWIEŚĆ



WARSZAWA
NAKŁADEM BIBLIOTEKI RODZINNEJ
1928

ALEXANDER DUMAS
(1818)

WOJNA KOBIECA

POWIEŚĆ



WARSZAWA

DRUKARNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA ŻŁOTA 7/9.

ROZDZIAŁ I

Niedaleko Libourne'u, tego wesołego miasta, co się przegląda w bystrych wodach Dordonji, między Fronsac a Saint - Michel - la - Rivière, znajdowała się niegdyś piękna wieś, której białe mury i czerwone dachy kryły się pod wysokimi lipami. Droga z Libourne'u do Saint André-de-Cubzac, ciągnęła się między domami, budowanymi symetrycznie pod linję; oto wszystko, co wędrowiec dojrzałby z wnętrza tych domów. Za nimi, o sto może kroków, płynęła rzeka, której szerokość i bystrość w tem miejscu, zapowiadała bliskie sąsiedztwo morza.

Wojna domowa pozostawiła tu niezatarte ślady, powyrwacała drzewa, wyludniła domy, te ostatnie, będąc wystawionemi na jej wściekłe zapędy, rozwalily się pomału, protestując przeciw barbarzyństwu zamieszek wewnętrznych.

Powoli, ziemia, która zdaje się być nato stworzona, by służyć za grób dla wszystkiego, co istniało, pokryła szczątki rozwalonych domów, niegdyś tak ponętnych i tak wesołych...

Nakoniec, na tym sztucznym gruncie wyrosła trawa; i dziś podróżny, idący drogą samotną, widząc na nierównych pagórkach pasące się liczne trzody, nie pomyśli nawet, że pasterz i owce depczą po cmentarzu, na którym wieś cała spoczywa.

Lecz w czasie, o którym mówimy, to jest w miesiącu maju 1650 roku, wieś ta rozwijała się po obudwóch stronach drogi i swój dobrobyt jej tylko zawdzięczała.

Podróżny, z przyjemnością spoglądał... to na wieśniaków, zaprzęgających i odprzegających konie od pługów, to na rybaków, wyciągających na brzeg sieci, w których rzucała się biała i różowa ryba Dordogne, to wreszcie na kowali, bijących silnie w kowadła, na snop iskiei, oświecający całą kuźnię za każdym uderzeniem młota.

Gdyby jednak droga dodała podróżnemu apetytu, bezwątpienia najbardziej podobałby mu się niski i długi dom jednopiętrowy, o pięćset kroków od wsi stojący.

Wychodzące z niego kominem i oknami różnorodne zapachy, wskazywały lepiej, niż złote ciele, wymalowane na tablicy z czerwonej blachy, że do ten jest jednym z tych zakładów gościnnych, którego mieszkańcy gotowi za pewne wynagrodzenie orzeźwić siły podróżnych.

Jednak pytają mnie niektórzy, dlaczego oberża pod „Złotem cieleciem“ była położona o pięćset kroków od wsi, nie zaś pośród domów, stojących po obydwóch stronach drogi?

Oto naprzód: gospodarz, chociaż mieszkał w tym małym kąciку ziemi, był przecież w swoim rzemiośle artystą pierwszego rzędu. Gdyby był zajął miejsce w środku, lub na końcu jednego z dwóch rzędów domów, wieś składających, mógłby łatwo być traktowanym na równi z większymi garkuchmistrzami, których zmuszony był uważać za swoich towarzyszy, lecz nie za równych sobie;; odosobniając się zaś, zwracał na siebie uwagę znawców, którzy raz zakosztowawszy utworów jego sztuki, mówili jeden drugiemu: „Jak będziesz jechał z Libourne’u do Saint-André-de-Cubzac, albo z Saint-André-de-Cubzac do Libourne’u, nie zaniedbaj wstąpić na śniadanie, obiad lub kolację, do oberży pod „Złotem cieleciem“, o pięćset kroków od wsi Matifou“.

I znawcy zatrzymywali się, wyjeżdżali zadowoleni, posyłali innych, a mądry oberżysta ciułał pomалу grosze, co jednak nie przeszkadzało mu (rzadka rzecz) utrzymywać dalej zakład gastronomiczny na tejże samej co i poprzednio stopie. To dowodzi, że pan Biscarros, jakieśmy już powiedzieli, był prawdziwym artystą w swoim rodzaju.

Jednego z tych pięknych majowych wieczorów, kiedy natura, na południu już obudzona, na północy dopiero budzić się zaczyna, gęsty dym i wonie jeszcze przyjemniejsze, niż zazwyczaj, rozchodziły się z okien oberży „Pod złotem cieleciem“. Na progu domu stał właściciel, Biscarros, cały biało ubrany, według zwyczaju ofiarników wszystkich wieków i narodów, skubiąc swemi dostojnymi rękami kuropatwy i przepiórki, przeznaczone na jeden z tych wykwintnych obiadów, które tak po mistrzowsku

urządzał i z zamiłowaniem swej sztuki, w najdrobniejszych wykańczał szczegółach...

Zmierzchało się.

Wody Dordogne, wijące się dość daleko, zaczynały się bielić pod czarnymi liśćmi drzew; cisza i smętność zaległy wieś, lekki wietrzyk powiewał; rolnicy spoczywali obok wyprzężonych koni a rybacy przy rozwieszonych sieciach; hałas wiejski ucichł, po ostatniem uderzeniu młota, kończącego dzień roboczy, rozległa się w sąsiednim gaju pierwsza piosnka słowika.

Biscarros, zachęcony świergotaniem pierzastego śpiewaka, sam zaczął nucić: skutkiem tego muzycznego współzawodnictwa i natężonej uwagi z jaką oberżysta kończył swą pracę, stało się, że wcale nie spostrzegł małego oddziału, złożonego z sześciu rycerzy, który się ukazał na końcu wsi Matifou i skierował swe kroki ku oberży.

Lecz krzyk niespodziany z pierwszego piętra gospody, oraz szybkie i głośne zamknięcie okna, zniewoliły pocziwego oberżystę do podniesienia oczu, a wtedy dopiero ujrzał rycerza, który jadąc na czele oddziału, prosto ku niemu zmierzał.

„Prosto“ nie jest tu koniecznie dobrze powiedzianem; dlatego więc pospieszamy naprawić omyłkę naszą. Rycerz ten często się zatrzymywał, rzucając na prawo i lewo badawcze spojrzenia, i zdawało się, że jednym rzutem oka chce przeniknąć wszystkie ścieżki, drzewa i krzaki; wsparł na kolanie ręką trzymał rusznicę, jakby szykując się do napadu i obrony: niekiedy czynił znak swym towarzyszom by pospieszali.

Biscarros tak był zajęty tą dziwną jazdą rycerza, że nawet zapomniał odrzucić oskubane z kuropatwy pióra, które trzymał między wielkim i wskazującym palcem.

— Ten jegomość szuka mego zakładu — rzekł do siebie — lecz musi mieć krótki wzrok, bo przecież moje „Złote ciele“ niedawno odnowione, a sztyd dość jaskrawy. Ha, trzeba wystąpić naprzód.

Biscarros wyszedł na środek drogi, i nie przestawał skubać zręcznie i okazale swej kuropatwy.

Ruch ten wywarł skutek, jakiego się spodziewał oberżysta, bo zaledwie rycerz go spostrzegł, spiął konia ostrogami, podjechał, a grzecznie skłoniwszy się, powiedział:

— Wybacz, panie Biscarros, czy nie widziałeś tutaj od-

działu rycerzy, naszych przyjaciół, którzy mnie niezawodnie szukają?... Nie są to wojskowi, tylko poprostu, zbrojni... Tak, zbrojni... wyraz ten najlepiej maluje myśl moją. No jakże!... nie widziałeś pan przypadkiem oddziału uzbrojonych ludzi?

Oberżyscie bardzo się podobało, że go wołają po nazwisku, odpowiedział na to najgrzeczniejszym ukłonem, nie wiedząc, że nieznajomy, rzuciwszy bystre spojrzenie na oberżę wyczytał na szyldzie nazwisko i stan właściciela domu.

— Szanowny panie — odpowiedział Biscarnos po chwilowym namyśle — widziałem tylko dwóch uzbrojonych ludzi, to jest szlachcica z masztelarzem, którzy przed godziną zatrzymali się u mnie.

— Aha! — rzekł nieznajomy, gładząc twarz prawie bez zarostu, a jednak już nacechowaną męskością. Aha!... u pana w oberży jest szlachcic z masztelarzem! i powiadasz, że obaj są uzbrojeni?

— Tak, tak, panie; czy pan chcesz, żebym oznajmił temu szlachcicowi, że masz chęć z nim pomówić?

— Zdaje się, że to byłoby nie bardzo przyzwoicie?... — odparł rycerz. — Przeszkodzić nieznajomemu, byłoby to postąpić z nim zanadto poufale, zwłaszcza jeżeli to jest jaka znakomita osoba. Nie, nie, panie Biscaros, opisz mi go tylko, albo jeszcze lepiej, pokaż tak, żeby on mię nie widział.

— Pokazać go panu, byłoby trudno, gdyż zdaje mi się, że się ukrywa, a nawet w chwili, kiedy pan i jego towarzysze pokazali się na drodze, zamknął okno. Daleko mi łatwiej przyjdzie go opisać: jest to młodzieniec niskiego wzrostu, o blond włosach i delikatny, zaledwie szesnaście lat mający, którego siły zdają się być tak wątłe, że zaledwo wystarczają do noszenia małej szpady, zawieszanej na temblaku.

Po twarzy nieznajomego przebiegł jakby cień nieprzyjemnego wspomnienia.

— Bardzo dobrze — rzekł — wiem, co chcesz powiedzieć, młody panicz, blondyn i zniewieściały, z lokajem, sztywnym jak walet pikowy... Nie jego to szukam...

— A!... więc pan nie jego szukasz!... — powtórzył Biscaros.

— Nie.

— A no, to zanim się pan doczekasz tego, którego szukasz, a który koniecznie będzie musiał tędy przejeżdżać, gdyż nie ma tu innej drogi, moglibyście panowie wstąpić do mnie i pokrzepić swe siły.

— Nie potrzebujemy tego... Pozostaje mi tylko podziękować ci i zapytać, która teraz godzina?

— Oto właśnie bije szósta na wiejskim zegarze. Racz pan posłuchać dzwonu.

— Dobrze. Teraz, czy zrobisz mi jeszcze ostatnią przysługę, panie Biscarros?

— Z miłą chęcią.

— Powiedz mi, gdzie ja tu mogę dostać łódki i przewoźnika?

— Czy pan chcesz przepłynąć się przez rzekę?

— Nie, chcę się przejechać po niej.

— Nic łatwiejszego; rybak, który mi ryby dostarcza... Ale... czy pan lubisz ryby? — zapytał Biscarros sposobem nawiasowym, powracając do swej myśli, mającej na celu pozostawienie nieznanego u siebie na kolacji.

— Nieszczególna to potrawa, ryba — odpowiedział podróżny — gdy jednak dobrze jest przyprawiona, nie gardzę nią w potrzebie.

— Mam zawsze wyborne ryby.

— Winszuję ci, panie Biscarros, lecz powróćmy do tego co ci je dostawia.

— A prawda!... O tej godzinie skończył już on swoją robotę i niezawodnie obiada. Stąd można widzieć jego łódkę, przywiązaną do wierzby, niedaleko tego wiązu. Dom jego ukryty tą oto łożyną. Zastaniesz go pan zapewne przy obiedzie.

— Dziękuję ci, panie Biscarros, dziękuję — rzekł nieznamy.

I dawszy znak swoim towarzyszom, galopem popędził ku drzewom, a wkrótce zastukał do wskazanej chatki.

Żona rybaka otworzyła drzwi.

Rybak, jak przepowiedział Biscarros, siedział przy stole.

— Weź wiosła — rzekł rycerz — i chodź za mną; zarobisz talara.

Rybak powstał z pośpiechem i spytał:

— Czy pan chcesz popłynąć do Vayres?

— Nie, odwieziesz mię tylko na środek rzeki, i pozostaniesz tam ze mną przez kilka minut.

Rybak zdumiał się, usłyszawszy to dziwaczne żądanie; lecz ponieważ miał zarobić talara, a przytem o dwadzieścia kroków po za rycerzem ujrzał jego towarzyszy, żądnych więc nie czynił trudności; domyślał się bowiem, że w razie oporu, użytoby siły, a wtedy straciłby obiecaną nagrodę.

Dlatego też oznajmił natychmiast nieznanemu, że jest gotów łódkę i wiosło poświęcić na jego usługi.

Wtedy mały oddział skierował się ku rzece; nieznanomy dojechał do samego brzegu, towarzysze zaś jego zatrzymali się na wzgórku, uszykowawszy się tak, że mogli patrzeć na wszystkie strony; zapewne obawiali się jakiego niespodziewanego napadu.

Nieznanomy, wysoki, blond - włosy młodzieniec, blady, silny chociaż chudy, z pojętną twarzą, pomimo, że ciemna obwódka okalała mu błękitne oczy, a wyraz gminnego cynizmu błędził na ustach jego, nieznanomy starannie obejrzał swoje pistolety, zawiesił muszkiet na temblaku, spróbował, czy długa jego szpada łatwo wysuwa się z pochwy, i skierował oczy na brzeg przeciwny, ogromną łakę przeczniętą ścieżką, ciągnącą się od nadbrzeża rzeki do miasteczka Izon. Przy złotawych promieniach zachodzącego słońca, widać było czarną dzwonnice i biały dym, z domów jego wychodzący.

Na drugiej stronie, o ćwierć mili zaledwie wznosiła się niewielka warownia Vayres.

— No cóż... — spytał zniecierpliwiony nieznanomy swoich towarzyszy, stojących na czatach. Czy jedzie?... Czy widzicie go gdzie, na prawo lub na lewo, na przedzie lub w tyle.

— Zdaje mi się — rzekł jeden z nich — że widzę jakiś oddział na drodze Izońskiej; lecz nie jestem tego pewny, słońce przeszkadza mi patrzeć. Zaczekajcie... tak, to oni... Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu ludzi. Na przodzie rycerz w lamowanym kapeluszu i płaszczu niebieskim. Oto właśnie posłaniec, którego czekamy, widać, że dla większego bezpieczeństwa, wziął konwój.

Dlatego też oznajmił natychmiast nieznanemu, że jest gotów łódkę i wiosło poświęcić na jego usługi.

— Ma zupełne do tego prawo — ozięble odrzekł nieznanomy — Ferguson, weź mego konia.

Ten któremu rozkaz został wydany na pół przyjaznym,

na pół rozkazującym tonem, pośpieszył go wykonać i udał się ku rzece; tymczasem nieznajomy zsiadł z konia, rzucił towarzyszowi cugle, przygotowując się wsiąść w łódkę.

— Posłuchaj, Cauvignac — powiedział Ferguzon, położywszy rękę na jego ramieniu. — Jeśli dostrzeżesz w nim najmniej podejrzanę poruszenie pal w łeb. Widzisz, przebiegły to poplecznik, przyprowadził z sobą cały oddział.

— Tak, ale nie większy od naszego. A co więcej, prócz przewagi męstwa, jest po naszej stronie i przewaga liczebna; niema się więc czego obawiać. Aha!... otóż i głowy ich zaczynają się pokazywać.

— Lecz co oni zrobią?... — spytał Ferguzon — nigdzie nie znajdują łódki... A!... nie! otóż tam jakby cudem stoi jakaś łódka.

— Należy ona do mego kuzyna, Izońskiego przewoźnika — rzekł rybak, którego te wszystkie przygotowania mocno zdawały się zajmować i który obawiał się, by na jego i kuzyna łódce, nie zawiązała się morska walka.

— Dobrze, otóż niebieski płaszcz siada do łodzi — powiedział Ferguzon — siada sam... Doskonale! właśnie tak było powiedziane w surowych warunkach umowy.

— A więc nie dajmy mu czekać — dodał nieznajomy.

I wskoczywszy do łódki dał znak rybakowi, by zajął swe miejsce.

— Uważaj dobrze i bądź ostrożnym, Rolandzie — rzekł Ferguzon — rzeka szeroka; nie zbliżaj się do tamtego brzegu, bo mogą do ciebie dać ognia z muszkietów, na który stąd z powodu znacznej odległości, nie mogliśmy odpowiedzieć; trzymaj się bliżej naszej strony, jeżeli można.

Ten, którego Ferguzon nazywał już to Rolandem, już to Cauvignaciem, to jest bez wątpienia po imieniu i nazwisku, kiwnął głową na znak zgody i rzekł:

— Nie bój się, ja sam o tem w tej chwili myślałem; nieostrożni mogą być ci tylko, którzy nic nie ryzykują: a nasza sprawa jest zanadto korzystną, bym chciał ją utracić. Jeżeli kto postąpi sobie nierozsądnie w tym przypadku, to pewno nie ja. No, przewoźniku, ruszaj.

Rybak odwiązał linkę i wepchnął w tratwę długi bosak; a kiedy łódź zaczęła się oddalać od brzegu, na przeciwnym, odbijała prawie wtymże czasie łódka Izońskiego przewoźnika.

Na środku rzeki znajdowała się mała grobla, z trzech sztuk drzewa złożona, na wierzchu której powiewała biała chorągiewka. Grobla ta służyła jako znak ostrzegawczy dla ładownych staków płynących Dordogne, bo w tem miejscu z powodu wielu skał podwodnych, przystęp jest niebezpieczny. Przy małej wodzie, można było nawet widzieć czarne i gładkie ich wierzchołki: lecz teraz, gdy woda na Dordogne wezbrała, chorągiewka tylko i lekkie wrzenie wody w tem miejscu, wskazywały niebezpieczeństwo.

Dwaj przewoźnicy pojęli bezwątpienia, że miejsce to będzie najdogodniejszym do spotkania się dwóch nieznanym, dlatego też obaj skierowali łódki ku tej stronie. Przewoźnik Izoński przbył pierwszy i z rozkazu swego pasażera, przywiązał łódkę do żelaznego łańcucha.

W tej chwili rybak, który wyjechał z przeciwnego brzegu, odwrócił się do swego podróżnego, aby odebrać rozkazy; lecz zdziwił się nadzwyczaj, ujrawszy w swej łódce zamaskowanego człowieka, owinętego płaszczem.

Strach rybaka zwiększył się, i ze drżeniem prosił o rozkazy swego dziwnego pasażera.

— Przywiąż łódkę tutaj — rzekł Cauvignac, wskazując ręką na jeden ze słupów — jak można najbliżej tej drugiej.

Przewoźnik był posłuszny, i obie łódki, uszykowawszy się rzędem, do czego im dopomógł silny pęd rzeki, dały możliwość dwom nieznanym rozpocząć następującą rozmowę.

ROZDZIAŁ II

— Jakto, pan jesteś zamaskowany?... — spytał z zdziwieniem i złością nowoprzybyły, człowiek otyły, około pięćdziesięciu ośmiu lat mieć mogący, z oczyma srogimi i nieruchomymi, jak oczy drapieżnych ptaków, z siwawymi wąsami i hiszpańską bródką. Nieznajomy ten nie miał maski, lecz włosy i twarz o ile mógł najstaranniej chował pod obszerne skrzydła, galonami okrytego kapelusza; ciało zaś jego i ubiór ginęły pod licznymi fałdami niebieskiego płaszczu.

Cauvignac przypatrując się mu się zbliżając, nie mógł ukryć swego zdziwienia, i pomimowolnie zdradził je szybkim poruszeniem.

— Co panu jest?... — spytał nieznajomy w niebieskim płaszczu.

— Nic panie... o mało co nie straciłem równowagi. Lecz zdaje mi się, żeś pan raczył mię o coś pytać; cóżes do mnie mówił?

— Pytam się, dlaczego włożyłeś pan maskę?

— Szczere pańskie pytanie — rzekł Cauvignac — i ja też odpowiem na nie z równą szczerością; zamaskowałem się dlatego, żebyś pan nie mógł widzieć mej twarzy.

— Więc ją znam?

— Nie sądzę; lecz gdybyś ją raz tylko zobaczył, mógłbyś później poznać, co podług mego zdania, zupełnie jest bezużytecznem.

— Tak, lecz wtenczas, kiedy moja szczerość nic mi zaszkodzić nie może.

— Szczerość pańska odsłania nawet cudze tajemnice?

— Tak, lecz wtenczas kiedy podobne odkrycie może mi przynieść jakąś korzyść.

— Szczególnem się pan zajmujesz rzemiosłem.

— Cóż! każdy robi co może, mój panie. Byłem zko-
lei adwokatem, żołnierzem i partyzantem; widzisz pan,
żem wszystkiego próbował.

— A czymże pan jesteś teraz?

— Pańskim najumniejszszym sługą — odrzekł młody
człowiek, kłaniając się z wymuszonym uszanowaniem.

— Czy masz pan list wiadomy?

— A pan, masz obiecany blankiet?

— Oto jest.

— Czy pan chcesz uczynić zamianę?

— Racz pan chwilkę zaczekać jeszcze — rzekł rycerz
w niebieskim płaszczu. Rozmowa z panem sprawia mi
wielką przyjemność, nie chciałbym jej tak prędko przery-
wać.

— Owszem, panie! rozmowa moja i ja sam jesteśmy na
jego usługi. A więc rozmawiajmy, jeśli panu to sprawia
przyjemność.

— Może pan chcesz, żebym wsiadł do jego łódki, lub
może też raczysz przejść do mojej? Ponieważ zaś jedna
zostanie próżną, będziemy mogli wsadzić do niej naszych
przewoźników i kazać im się oddalić!

— Niema potrzeby; pan władasz zapewne jakim
obcym językiem?

— Mówię po hiszpańsku.

— I ja także. Mówmy więc po hiszpańsku, jeśli ten
język panu się podoba.

— Doskonale!... — rzekł tym umówionym językiem ry-
cerz w niebieskim płaszczu. A więc, jaka przyczyna —
mówił dalej tenże — skłoniła pana do odkrycia księciu d'E-
pernon niewiary pewnej damy?

— Chciałem wyświadczyć usługę temu zacnemu panu,
zjednać sobie względy jego.

— Czy pan masz jaką urazę do panny de Lartigues?

— Ja! przeciwnie, muszę nawet wyznać, że jej wiele
winien jestem, i byłbym w rozpacz, gdyby się jej jakie
nieszczęście przytrafić miało.

— A więc pan jesteś nieprzyjacielem barona de Canol-
les?

— Nigdy go nie widziałem i znam go tylko z nazwi-
ska; muszę jednak wyznać, żem wiele słyszał o uprzejmo-
ści i odwadze tego szlachcica.

— A więc do tego postępowania żadna pana nie zmusza uraza?

— Nie! Bo gdybym miał jaką urazę do barona de Cannolles, tobym go poprosił, żeby się ze mną strzelał lub rabał; on zaś jest tak grzecznym, że nigdy nie odmawia wezwaniu podobnego rodzaju.

— A więc muszę wierzyć temu, coś pan powiedział?

— Sądzę, że nic lepszego nie możesz pan uczynić.

— Dobrze! czy masz pan list, będący dowodem niewiary panny de Lartigues?

— Oto jest! Lecz pozwolisz pan bez wyrzutu uczynić tu wzmiankę, że już po raz drugi go panu pokazuję.

Stary szlachcic rzucił zdala spojrzenie pełne smutku, na cienki papier, przez który widzieć można było przebijające czarne litery.

Młodzieniec rozwinął powoli list.

— Wszak pan poznajesz pismo?

— Tak, poznaję.

— A więc daj mi pan blankiet, a zaraz list mieć będziesz.

— Poczekaj pan. Jeszcze jedno pytanie.

— Słucham.

Tu młodzieniec spokojnie złożył list i schował do kieszeni.

— Jakim sposobem dostałeś pan ten bilecik?

— Zaraz powiem panu.

— Słucham.

— Pan wiesz zapewne, że rozrzutny zarząd księcia d'Epéron zrodził mu wiele kłopotów w Guyennie.

— Wiem, cóż dalej?

— Pan wiesz także bezwątpienia, że zarząd sknerczy kardynała Mazarini, narobił mu wiele kłopotów w stolicy?

— Jakaż z tem ma styczność kardynał Mazarini i książę d'Epéron?

— Poczekaj pan: z tych dwóch przeciwnych zarządów wynikło coś bardzo podobnego do ogólnej wojny, w której każdy udział przyjmuje. Teraz, Mazarini prowadzi wojnę za królową, książę d'Epéron za króla; koadjutor, za pana de Beaufort; pan de Larochevoucault za panią de Longueville; książę Orleński za pannę Soyon; Parlament za naród; nakoniec, księcia de Condé prowadzącego wojnę za Francję, wsadzono do więzienia. Ponieważ ja niczym

nie zyskał, bijąc się za królowę, króla, koadjutora, Beauforta, panią de Montbazon, panią Longueville, pannę de Soyon, lub też za naród i za Francję, przyszła mi więc myśl nie przystawać do żadnego z tych stronnictw, lecz trzymać się tego, do którego poczuję pociąg chwilowy. Mojem więc zadaniem jest: wszystkiego używać stosownie. Co pan powiesz na tę myśl moją?

— Jest dowcipna.

— Otóż skutek tego zebrałem armję. Patrz pan: stoi uszykowana na brzegach Dordogne.

— Pięciu ludzi!... Nieźle!

— Mam więcej od pana o jednego człowieka; wcale więc nie masz powodu pogardzać moją armją.

— Ale bardzo źle ubrani — dodał gniewnie stary szlachcic, gotów wszystkiemu przyganiać.

— Prawda — odpowiedział młodzieniec — że oni są bardzo podobnymi do towarzyszków Falstaffa.. Falstaff, jest to angielski dżentelmen, mój przyjaciel... Lecz dziś wieczór, będą już mieli nowe ubrania, i jeśli spotkasz ich pan jutro przekonasz się, że istotnie są to piękni chłopcy.

— Co mnie do pańskich ludzi; mów pan o sobie.

— A więc dobrze! Prowadzę wojnę jedynie dla siebie: spotkaliśmy poborcę podatków, który jeździł ze wsi do wsi w celu napełnienia worka Jego Królewskiej Mości; dopóki jeszcze zbierał pieniądze, nic mu złego nie czyniliśmy, przyznam się nawet, że widząc coraz bardziej grubiejący worek, chciałem przystać do stronnictwa króla. Lecz rozmaite wypadki djabło powikłały sprawę: ogólna nienawiść dla kardynała Mazarini, ciągłe skargi ze wszech stron na księcia d'Épernon rozchodzące się, zniewoliły nas nieco się namyśleć. Pomyśleliśmy, że wiele dobrego musi być w stronnictwie książąt, i na honor! przyłączyliśmy się do takowego z całym zapałem; poborca właśnie kończył wydane sobie polecenie w tym małym domku, który pan widzisz, ot tam... kryjący się między topolami i dębami.

— W domku Nanony!... — pomruknął rycerz w niebieskim płaszczu — tak, widzę go.

— Czatowaliśmy na niego aż wyjdzie, a potem udawszy się za nim, przeprawiliśmy się razem przez Dordogne. Niedaleko Saint-Michel, gdyśmy już wyjechali na środek rzeki, oznajmiłem mu onaszej przemianie politycznej prosząc go, jak z największą grzecnością o oddanie nam zebra-

nych przez niego pieniędzy. Czy uwierzysz, łaskawy panie, że odmówił? Wtedy moi towarzysze zrewidowali go, a ponieważ krzyczał jak warjat, porucznik więc mój, człowiek pełen wynalazków, patrz pan... oto ten, w czerwonym płaszczu, co trzyma mego konia, on to więc zauważył, że woda nie przypuszczając powietrza, nie przepuszcza także głosu; ja, jako lekarz, pojąłem ten fizyczny pewnik, pochwalając go. Ten co nam podał tę zbawienną radę, zanurzył głowę poborca w wodzie, nie więcej jak na jedną stopę; w samej rzeczy, poborca przestał krzyżeć, albo raczej, myśmy jego krzyków nie słyszeli. Wtedy, w imieniu ksiąząt, zebraliśmy wszystkie pieniądze, i całą znajdującą się przy nim korespondencję. Pieniądze oddałem moim żołnierzom, którzy, jakies pan sprawiedliwie powiedział, koniecznie potrzebują nowych mundurów; ja zaś zatrzymałem sobie papiery, a między innymi ten list. Zdaje się, że poczciwy poborca służył panie de Lartigues za miłosnego posłannika.

— W istocie — pomruknał rycerz w niebieskim płaszczu — jeśli się nie mylę, był on bardzo przywiązany do Nanony. A cóż się stało z tym nędznikiem?

— A. przekonasz się pan, żeśmy doskonale uczynili, zmaczawszy w wodzie tego, jak pan nazywasz, nędznika, inaczej, byłby on cały świat przeciwko nam podburzył; wystaw pan sobie, że gdyśmy go wyciągnęli z rzeki, już nie żył, chociaż nie zostawał w wodzie dłużej kwadransa. Umarł widać ze złości.

— To też go pewno z powrotem do wody wpusciliście?

— Ma się rozumieć.

— Lecz jeśli poseł utonął...

— Ja nie mówiłem, że on utonął.

— Nie kłóćmy się o jeden wyraz... No... A jeśli poseł umarł?

— A. to co innego; umarł najprawdopodobniej.

— A więc pan de Canolles nic nie wie, i rozumie się, z własnego natchnienia przyjdzie na schadzke.

— O. pozwól pan: ja prowadzę wojnę z ludźmi potężnymi, a nie ze zwyczajnymi. Pan de Canolles odebrał kopję listu, który mu naznaczał schadzke. Ja zaś, sądząc, że tylko autograf mieć może wartość jaką, schowałem go...

— Cóż baron pomyśli, skoro zobaczy nieznanomy charakter pisma?

— Że osoba, zapraszająca go na schadzkę, dla większej ostrożności, poleciła komu innemu napisać bilecik.

Nieznamy z zadziwieniem spojrział na Cauvignaca; zdumiewała go podobna bezczelność, lecz zarazem i przytomność umysłu.

Chciał spróbować, czy nie uda mu się zastraszyć tego nieulekłego śmiałka; spytał go więc:

— Jakto! pan nigdy nie pomyślisz o rządzie, o śledztwach?

— O śledztwach?... — powtórzył młodzieniec z uśmiechem — ksiązę d'Épernon nie ma czasu zajmować się śledztwami; a przytem czy już nie powiedziałem panu, że to wszystko zrobiłem jedynie dla pozyskania jego względów? Ksiązę bardzo byłby niewdzięcznym, gdyby mi takowych odmówił.

— Zupełnie tego nie rozumiem — rzekł stary szlachcic z ironją. Jakto. panu, co się przyznajesz, żeś się przyłączył do stronnictwa ksiąząt, przysłała ta dziwna myśl, służyć księciu d'Épernon.

— To jednak jest bardzo proste: papiery, zabrane przeze mnie poborcy podatków, wykazały mi całą czystość zamiarów królewskiego stronnictwa; Jego Królewska Mość zupełnie jest usprawiedliwiony w moich oczach, a ksiązę d'Épernon tysiąc razy więcej ma słuszności od wszystkich swych podwaźnych. I widząc, że na stronie królewskiej jest sprawiedliwość, zaraz do niej przeszedłem.

— A to rozbójnik!... — murknął szlachcic, pokręcając siwych wąsów — niech mi tylko wpadnie kiedy w ręce, a niezawodnie wisieć będzie.

— Co pan mówisz?... — spytał Cauvignac, przymrużając pod maską oczy.

— Nic... Teraz jeszcze jedno pytanie: Co pan zrobisz z blankietem, którego żądasz?

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli sam wiem; prosiłem o blankiet dla tego, bo to rzecz najdogodniejsza, najelastyczniejsza i najmniej zajmująca miejsca; być może także, że go utracę dla pierwszego lepszego kaprysu; i ot być może, że sam przedstawię go panu w końcu tego tygodnia, jak również, że powróci do pana dopiero za trzy lub cztery miesiące, z kilkunastoma przekazującemi podpisanymi, jak weksel w obieg puszczony. Lecz w każdym razie bądź pan spokojny, nie użyję go w żadnej takiej sprawie,

za którą ja lub pan, mielibyśmy się rumienić. Bo przecież i ja jestem szlachcicem.

— Pan jesteś szlachcicem?

— Tak, nawet starej daty.

— Każę go więc łamać kołem — pomruknął nieznajomy — ot!... na co mu blankiet posłuży.

— No i cóż? Czy raczysz pan dać mi ten blankiet? — spytał Cauvignac.

— Cóż robić!... muszę dać — odpowiedział stary.

— Ja pana nie zmuszam, proponuje tylko zamianę: nie chcesz dać mi blankietu, ja nie dam listu.

— Gdzież list?

— A gdzie blankiet?

I Cauvignac jedną ręką podawał list, gdy tymczasem drugą odводził kurek pistoletu.

— Schowaj pan broń swoją — rzekł nieznajomy, rozrzucając fałdy swego płaszcza — ja mam także pistolety, również przygotowane. Postąpmy lepiej zgodnie, i... oto blankiet.

— Oto list.

Zamiana papierów odbyła się uczciwie, w milczeniu; każdy powoli i z uwagą obejrzał otrzymany papier.

— Gdzie pan teraz pojedziesz?... — spytasz Cauvignac.

— Ja muszę popłynąć na prawy brzeg rzeki.

— A ja na lewy — odpowiedział Cauvignac.

— Jakże zrobimy?... Moi ludzie są na tym brzegu, gdzie pan jedziesz, a pańscy tam gdzie ja się udaję.

— Nic łatwiejszego; przyślij pan moich ludzi w swojej łódce, ja zaś pańskich, w mojej odesłać każę.

— Pan masz bystry i wynalazczy umysł.

— Zrodziłem się na dowódcę armji — rzekł Cauvignac.

— Nawet już nim pan jesteś.

— Al... prawda, zapomniałem o tem.

Nieznajomy kazał przewoźnikowi odwiązać łódkę i skierować się w przeciwną stronę brzegowi, z którego wypłynął.

Cauvignac, spodziewając się tu jakowejś zdrady, podniósł się nieco i śledził odpływającego oczyma, trzymając ciągle pistolet w ręku, gotów dać ognia za byle podejrzanem poruszeniem nieznajomego, lecz starzec nie raczył nawet zwrócić uwagi na tę nieufność, której był przedmio-

tem; z rzeczywistem, czy też udaniem niedbalstwem obrócił się tyłem do młodzieńca, zagłębiając się w czytanie listu.

— Nie zapominaj pan godziny schodzki — krzyknął Cauvignac — dziś wieczór o ósmej godzinie.

Niezajomy nie odpowiedział, udał nawet, że go nie słyszy.

A!... — pomyślał Cauvignac, gładząc ręką lufę pistoletu — gdybym chciał, mógłbyńm otworzyć następstwo na urząd gubernatora Guyenny i usmierzyć wojnę domową!... Lecz jeśli księżę d'Epéron zginie, na cóż przyda się jego blankiet? Jeśli się skończy domowa wojna, z czegoż ja żyć będę? A!... są czasem chwile, w których zdaje mi się, że rozum tracę!... Niech żyje księżę d'Epérono i wojna domowa!... No, przewoźniku, za wiosła i płyn do brzegu; nie trzeba dać czekać temu zacnemu panu na jego świtę.

Po chwili Cauvignac przybył do lewego brzegu Dordogne właśnie wtenczas, kiedy rycerz w niebieskim płaszczu odsyłał Ferguzona z jego pięciu towarzyszami w łódce izońskiego przewoźnika.

Cauvignac chcąc się okazać również punktualnym, rozkazał swemu przewoźnikowi, przewieźć czterech ludzi nieznanego na brzeg prawy.

Oba oddziały spotkały się wśrodku rzeki, grzecznie się sobie skłoniwszy, potem każdy przybył tam, gdzie oczekiwał dowódca.

Stary szlachcic zniknął ze swoim oddziałem w lasku, ciągnącym się aż do wielkiej drogi, a Cauvignac, na czele swej armji, udał się do Izon.

ROZDZIAŁ III

W pół godziny po opowiedzianej przez nas scenie, okno w obergery pana Biscarros, które poprzednio z takim hałasem zamknięto, otworzyło się ostrożnie. Z okna tego wyrzła młodzieniec osiemnastoletni. Całe jego ubranie było czarne, z karbowanemi podług ówczesnej mody mankieta-
mi koszuli; jego mała, pełna wdzięku i pulchna ręka, miała z niecierpliwości danielowe rękawiczki, na szwach haftowane; jasno-szarego koloru kapelusz, z wspaniałem błękitnem piórem, pokrywał długie złociste jego włosy, cudownie otaczając owalną twarzyczkę, nadzwyczaj białą z różowemi ustami i czarnemi brwiami. Lecz wszystkie te wdzięki, które młodzieńca między najpiękniejszych owego czasu mężczyzny policzyć mogły, niknęły teraz pod cieniem złego humoru, będącego zapewne skutkiem bezskutecznego oczekiwania, gdyż młodzieniec chciwym wzrokiem przebiegał drogę, pokrywającą się już zmierzchem wieczornym.

Z niecierpliwości uderzał rękawiczkami o lewą rękę. Biscarros, ciągle skubiący kuropatwę, usłyszawszy ten szelest, podniósł głowę, zdjął czapkę i zapytał:

— O której godzinie będziesz pan jadł kolację? Wszystkie już gotowe, czekam tylko rozkazu.

— Wiesz dobrze, że sam jeść nie będę, gdyż czekam na mego towarzysza. Jak go tylko zobaczysz, możesz podać kolację.

— A panie — odrzekł Biscarros — nie chcę ganić pańskiego przyjaciela, gdyż on może przyjechać lub nie; lecz z tem wszystkiem, dać na siebie tak długo czekać, to bardzo źle przyzwyczajenie.

— On nie ma tego przyzwyczajenia i dziwi się, że go tak długo nie widać.

— A ja się nie dziwię, lecz smucę z jego opóźnienia; piecyste się spali!...

— To go zdejm z rożna.

— Jeśli go zdejmę, to ostygnie.

— Wsadź na rożen drugą kuropatkę.

— Ta nie dopiecze się znowu.

A więc rób sobie co chcesz, mój przyjacielu — rzekł młodzieniec, mimowolnie uśmiechając się z rozpaczy oberżysty. Rozwiązanie tego pytania pozostawiam twemu doświadczeniu i wysokiej mądrości.

— Żadna mądrość, chociażby samego króla Salomona, nie może dodać smaku odgrzewanemu obiadowi — odpowiedział oberżysta.

Wyrzekłszy tę wielką i niezaprzeczoną prawdę, którą we dwadzieścia lat później Boileau opisał wierszem. Biscarros wszedł do swej oberży, smutnie potrząsając głową.

Wtedy młodzieniec, starając się ukrócić niecierpliwość swoją, zaczął chodzić po pokoju; przez chwilę rozlegał się miarowy odgłos kroków. Wkrótce, usłyszawszy wdali tentent koni, żywo przybiegł do okna.

— Otóż i on nakoniec!... — zawołał — Bogu dzięki!

Rzeczywiście, za gaikiem, gdzie śpiewał słowik, na którego świergotanie młodzieniec wcale uwagi nie zwracał, pokazała się głowa rycerza; lecz jakież było jego zdziwienie, gdy rycerz nie wyjechał na wielki gościniec, lecz zwrócił się na prawo w zarośla, w których zniknął, co było najlepszym znakiem, że rycerz zsiadł z konia. Po chwili młodzieniec spostrzegł przez gałęzie z ostrożnością rozłożone, szary kaftan i odblask promieni zachodzącego słońca, na lufie muszkietu.

Młodzieniec stał w oknie zamyślony; rycerz ukrywający się w gaju, widocznie nie był jego towarzyszem. Wyraz niecierpliwości, malujący się na jego twarzy, zamienił się w ciekawość.

Wkrótce drugi rycerz ukazał się na skrócie drogi; młodzieniec cofnął się w głąb pokoju, żeby nie być widzianym.

Drugi przybysz, także w szarym kaftanie i z muszkietem, powiedział do pierwszego kilka słów, których dla znacznej odległości nasz młodzieniec nie mógł słyszeć. Pierwszy, otrzymawszy jakieś polecenie, wjechał w las na

przeciwnej stronie drogi będący, zsiadł z konia, schował się za skałę i czekał.

Z okna młodzieniec mógł widzieć po nad skałą kapelusza, obok kapelusza błyszczał punkt jasny: koniec lufy muszkietu.

Uczucie nieopisanego strachu opanowało młodzieńca, który, patrząc na ową scenę, coraz bardziej cofał się w tył.

— Oho!... — rzekł — czy to czasem nie przeciwko mnie i moim tysiącu ludiorom knuje się ten spisek?... Ale nie!... To być nie może!... Jeśli Richon przyjedzie, a ja będę się mógł udać w drogę dziś wieczór, pojedę do Li-hournu a nie do Cubzac i tym sposobem nie będę przejeżdżał tą stroną, w której się ci ludzie zasadzają. Gdyby tu był mój stary Pompée, onby mi najlepszej mógł udzielić rady. Lecz jeśli się nie mylę, oto jeszcze dwóch przybywa; ci także łączą się z dwoma pierwszymi. Oj! to zupełna zasadzka.

I jeszcze na jeden krok się cofnął.

W istocie, w tej chwili ukazało się na drodze dwóch rycerzy, lecz tym razem jeden tylko z nich był w szarym kaftanie, drugim jechał na czarnym wspaniałym koniu, owinięty wielkim płaszczem, w kapeluszu obszytym galonami i zdobnym piórem. Kiedy wiatr wieczorny rozwiał płaszcz jego, dawał się widzieć bogaty haft, wyszyty na spencerze koloru wiśniowego.

Słońce, jakby umyślnie nie zachodziło, by oświetlać tę scenę. Promienie jego wydobywszy się z pod masy chmur czarnych, które niekiedy tak malowniczo rozciągają się po horyzoncie oświetliły nagle szyby okien pięknego domku, stojącego o sto kroków od rzeki; gdyby nie to, młodzieniec nie spostrzegłby go, bo był ukryty między gałęziami gęstego lasu. Za wzmocnieniem światła można było widzieć jak spojrzenia szpiegów ciągle zwracały się ku wejściu do wsi, lub też na mały domek z błyszczącymi szymbami. Szare kaftany okazywały szczególny szacunek dla białego pióra i rozmawiając z niem, zdejmowały kapelusze. Wkrótce jedno z oświetlonych okien otworzono i na balkonie pokazała się kobieta; popatrzyła chwilę, pakby ze swej strony także kogoś oczekiwała, i zaraz weszła do pokoju, lękając się zapewne by jej nie spostrzeżono.

Kiedy wchodziła, słońce zaczęło się chować za górę, w miarę czego dolne piętro domku zdawało się pogrążyć

w cieniu; światło niknąc pomału z okien, zaczęło się ukazywać na łupkowym dachu, a nareszcie zniknęło, zatrzymawszy się przez chwilę... już ostatnią, na pęku złotych strzał, stanowiących chorągiewkę na dachu.

Dla każdego rozsądnego człowieka, było w tej scenie wiele wskazówek, z których można było ugruntować wiele domysłów prawdopodobnych.

Ludzie ukryci, o których jużśmy wyżej wspomnieli, szpiegowali mały odosobniony domek z balkonem, na którym przed chwilą pojawiła się kobieta. Kobieta ta czekała jedną i tą samą osobę co i owi ludzie, nie z tymi jednak, co oni, zamysłami. Oczekiwała przez nich osoba, miała przejeżdżać przez wieś, zatem i obok oberży, stojącej na samej drodze. Nakoniec rycerz z białym piórem był naczelnikiem rycerzy w szarych kaftanach. Z jego zapału, z jakim się podnosił na strzemionach, by mógł dalej widzieć, można było się domyśleć, że rycerz ten jest zazdrosny i jedynie dla siebie na zdobycz czatuje.

W chwili kiedy nasz młodzieniec tak rozmyślał, otworzyły się drzwi jego pokoju i wszedł Biscarros.

— Kochany gospodarzu — rzekł młodzieniec, nie dając czasu oberżyście przemówić ani słowa — zbliż się tutaj i powiedz mi, jeśli tylko możesz odpowiedzieć na moje pytanie, do kogo należy ten mały domek, który się oto tam... pośród topól bieli?

Oberżysta spojrział w kierunku wskazującego palca młodzieńca i poskrobał się w głowę.

— E!... on należy raz do tej, to znowu innej osoby — odrzekł z uśmiechem, któremu starał się nadać jak można najwięcej wyrazu przebiegłości. Domek ten może nawet należeć do pana, jeśli z jakiegokolwiek przyczyny szukasz samotności, czy to żeby się ukryć sam, czy też, mówiąc bez ogródki, chcąc tam ukryć kogo.

Młodzieniec zarumienił się, a po chwili spytał:

— Lecz teraz, któż mieszka w tym domu?

— Młoda dama, która się mieni być wdową, i którą cień jej pierwszego, a może nawet i drugiego męża niekiedy nawiedza. Tylko jedna rzecz jest tu godną uwagi; chyba... oba cienie muszą się z sobą porozumiewać, gdyż nigdy nie spotykają się.

— Od jakiegoż to czasu — spytał, uśmiechając się mło-

dzieniec — piękna ta wdowa mieszka w odosobnionym domku, nawiedzanym przez duchy?

— Już blisko od dwóch miesięcy. Zresztą żyje ona bardzo samotnie, i nikt nie może się szczycić, żeby ją widział, w przeciągu tych dwóch miesięcy; wychodzi bowiem bardzo rzadko, a jeśli wychodzi, to tak się zaślania, że wcale jej rysów dojrzeć nie można. Co rano przychodzi do mnie mała, śliczna jej służąca, zamawiać obiad. Jedzenie odnoszą im, ona odbiera go w sieni, płaci hojnie i natychmiast drzwi za chłopcem zamyka. O!.. i dziś wieczór naprzykład, jest tam uczta; dla niej to właśnie przygotowywałem kuropatwy i przepiórki, które widziałeś pan, gdy je skubałem.

— I kogóż ona będzie częstować tą wieczerzą?

— Bezwątpienia jednego z tych cieni, o których panu mówiłem.

— Czyś widział kiedy te dwa cienie?

— Widziałem, lecz tylko w przejeździe wieczorem po zachodzie słońca, albo rano przed świtem.

— Jednakowoż jestem przekonany, że ich znasz choć z powierzchowności, kochany panie Biscarros, gdyż z mowy twej widać, żeś dobrym obserwatorem. No, powiedz, coś szczególnego dostrzegł w tych dwóch cieniach?

— Jeden z nich, starszy, może mieć sześćdziesiąt do sześćdziesięciu pięciu lat i ten zdaje mi się być pierwszym mężem, gdyż przybywa jak cień, ufny w dawność praw swoich. Drugi jest młodzieńcem najwięcej dwudziesto-ośmioletnim, i ten, muszę przyznać, jest daleko bojaźliwszym, i robi wrażenie cierpiącego. Dlatego też gotówbym przysiąc, że to cień drugiego męża.

— A o której godzinie kazano ci dziś przysłać kolację?

— O ósmej.

— Już jest w pół do ósmej — rzekł młodzieniec, wyjmując z kieszonki wytworny zegarek, nie masz więc czasu do stracenia.

— O!... bądź pan spokojny, tamta kolacja będzie gotowa, przyszedłem tylko pomówić z panem o jego kolacji i oświadczyć, że ją zaczął! zupełnie na nowo; postaraj się pan zatem, aby towarzyszyć, który się tak opóźnia, przybył za godzinę.

— Posłuchaj kochany gospodarzu, — rzekł młodzieniec z miną znakomitego człowieka, nie troszczącego się o jedzenie — nie rób żadnych przygotowań do kolacji, cho-

ciażby nawet mój towarzysz przyjechał, gdyż mamy z sobą wiele do mówienia. Jeśli nie będzie przygotowaną, pomówimy przed nią, jeśli zaś będzie gotową, pomówimy potem.

— A!... pan wcale nie jesteś wymagającym i jeśli razysz na mnie polegać, będziesz zupełnie zadowolony.

Powiedziawszy to, Biscarros skłonił się i wyszedł.

— Aha!... — rzekł do siebie młodzieniec, zajmując znowu stanowisko u okna — teraz wszystko pojmuję. Dama czeka na kogoś, co ma przybyć z Libournu, a uzbrojeni ludzie mają zamiar uderzyć na przybywającego, nim ten do drzwi zastuka.

Wkrótce też, jakby dla poparcia domysłów młodzieńca, na lewo od oberży dał się słyszeć tentent konia. Szybko, jak błyskawica, skierowały się oczy jego na lasek, by rozpoznać postawę uzbrojonych ludzi. Chociaż pomroka nocna nie dozwalała dojrzeć wszystkiego, zdawało mu się jednak, że jedni, z nich ostrożnie usuwali gałęzie, inni zaś podnosili się, wyglądając z po za skał, gotowi do poruszenia, na napad zakrawającego. W tymże czasie ozwał się zgrzyt jakby odwodzonego kurka muszkietu.

Młodzieniec to usłyszał, zadrżał i zwrócił się ku stronie Libournu, starając się dostrzec tego, któremu zagrażało niebezpieczeństwo.

Wtedy pośród ciemności ujrzał pięknego młodzieńca, jadącego truchtem na kształtnym koniu, z zwycięską postawą opierając rękę o siodło; z jego prawego ramienia spadał z wdziękiem krótki płaszcz, podszyty białym atłasem.

Zdaleka postać ta zdawała się być pełną wytworności, szczęścia i dumy radosnej.

Zbliża, młodzieniec nasz ujrzał twarz delikatnych rysów, z żywymi rumieńcami, ognistemi oczyma, z ustami na wpeł otwartymi z przyzwyczajenia do uśmiechu, z pięknymi czarnymi wąsami, i drobnymi białymi zębami.

Słowem, młodzieniec ten zdawał się być jednym z wytwornisów owego czasu.

O pięćdziesiąt kroków za nim jechał konno lokaj, wymuszony, nadęty i starający się naśladować wszystkie poruszenia pana; lokaj ten zdawał się zajmować między równymi sobie tak zaszczytne miejsce, jakie pan, jego między szlachtą zajmował.

Piękny młodzieniec, patrząc z okna, oberży na przygotowującą się scenę, mimowolnie zadrżał na myśl, że obaj podróżni, tak nieostrożni, niedomyślając się niebezpieczeństwa, zostaną niezawodnie rozstrzelani, skoro zbliżą się do oczekującej na nich zasadzki.

W młodzieńcu wszczęła się straszna walka, między jego dziecinną bojaźnią a miłością bliźniego.

Nakoniec szlachetne uczucie wzięło górę i gdy rycerz przejeżdżał obok oberży, nie raczywszy nawet zwrócić na nią swego spojrzenia, młodzieniec, korzystając z jego przybliżenia się, wyjrzał oknem i zawołał na pięknego podróżnika:

— Hola! panie! zatrzymaj się! Mam ci udzielić bardzo ważną wiadomość.

Na te słowa podróżny podniósł głowę, a ujrawszy w oknie młodzieńca, wstrzymał konia tak doskonałym poruszeniem ręki, że ono przyniesćby mogło zaszczyt najlepszemu masztalerzowi.

— Nie zatrzymuj pan konia — ciągnął dalej młodzieniec — lecz owszem, zbliżaj się do mnie jak można najspokojniej.

Podróżny wahał się chwilę, lecz przypatrzawszy się młodzieńcowi, widząc szlachetność, malującą się w jego spojrzeniu, zdjął kapelusz i zbliżywszy się do niego z ujmującym na ustach uśmiechem:

— Jestem na pańskie rozkazy — rzekł — co pan potrzebujesz?

— Podjedź pan jeszcze bliżej — mówił dalej nieznamy z okna — wiadomość bowiem, którą mam panu udzielić, nie może być powiedzianą głośno. Włóż pan kapelusz, gdyż trzeba żeby myślano, że się oddawna znamy, i że przyjechałeś do oberży dla widzenia się ze mną.

— Lecz, panie — rzekł podróżny — ja nic nie rozumiem.

— Zaraz pan wszystko zrozumiesz; a teraz włóż kapelusz... No dobrze! Podejdz jeszcze bliżej... bliżej, podaj rękę... A! mocno się cieszę, że pana oglądam!... Teraz zatrzymaj się pan w oberży, bo jeśli nie, to zginałeś.

— Co to jest? Doprawdy pan mię zatrwązasz — rzekł z uśmiechem podróżny.

— Nieprawdaż, że pan jedziesz do tego oto małego domku, wktóry mbłyszczczy światelko?

Rycerz drgnął.

— Na drodze do tego domku prowadzącej, ot tam, w tym ciemnym lasku, jest ukrytych czterech ludzi, którzy na pana czekają.

— Ba!... — powiedział podróżny, spoglądając na zbłądłego młodzieńca. I pan jesteś tego pewny?

— Widziałem ich, jak przyjeżdżali jeden za drugim, jak zsiadali z koni, jak się chowali, jedni za drzewa, drudzy za skały. Nakoniec, jak tylko się pan ukazałeś, sły-
szałem jak nabijali muszkiety.

— Czy być może!... — rzekł podróżny, z kolei zaczynając się lękać.

— Tak panie, wszystko to jest istną prawdą — mówił dalej młodzieniec — i gdyby było nieco widniej, mógłbyś pan ich nawet zobaczyć i poznać.

— O! ja nie potrzebuję ich widzieć — odpowiedział rycerz — i tak wiem doskonale, co to za ludzie. Lecz któż ci powiedział mój panie, że ja jadę do tego domku, i że to na mnie czatują na drodze?

— Zgadłem...

— Jesteś pan zachwycającym Edypem. Dziękuję. Więc chcą mnie zastrzelić? A wielu ich jest?

— Czterech, z których jeden zdaje się być dowódcą.

— Dowódca jest z nich najstarszy, nieprawdaż?

— Tak mi się zdaje.

— Zgarbiony?

— Cokolwiek; ubrany zaś jest w haftowany spencer i w płaszcz ciemnego koloru; przytem u kapelusza ma białe pióro.

— Tak, tak... zupełnie; to ksiązę d'Épernon.

— Ksiązę d'Épernon!... — powtórzył młodzieniec.

— A! otóż zacząłem opowiadać panu moje tajemnice — rzekł śmiejąc się podróżny. Lecz to nic nie szkodzi; pan wyświadczyłeś mi tak ważną usługę, iż nic nie mogę przed nim ukrywać. A jak też są ubrani jego towarzysze?

— W szarych kaftanach.

— Właśnie tak; są to jego giermkowie.

— To też wszyscy są dziś uzbrojeni.

— Na moją cześć. Bardzo dziękuję. Teraz, czy pan wiesz, co powinienbyś uczynić?

— Nie wiem, lecz powiedz mi pan swoje zdanie i jeśli

będę mógł być mu w czem użytecznym, gotów jestem uczynić wszystko, co mi pan rozkażesz.

— Masz pan broń?

— A jakże mam szpadę.

— A masz pan lokaja?

— To się rozumie; lecz go tu niema, gdyż posłałem go na spotkanie mego towarzysza, którego oczekuję.

— A więc musisz mi pan pomóc...

— W czem?

— Pomóc mi uderzyć na tych nędzników, i zmusić ich lub dowódcę do błagania nas o łaskę.

— Czyś pan oszalał?... — zawołał młodzieniec, głosem, okazującym, że wcale nie był usposobiony do przyjęcia udziału w tej wyprawie.

— A! wybacz mi pan — rzekł podróżny — zupełnie zapomniałem, że ta sprawa pana się nie tyczy.

Potem odwrócił się do swego lokaja, w tyle za nim stojącego, i zawołał:

— Castorin! Zbliź się.

I w tym samym czasie podniósł rękę do olstrów, jakby dla przekonania się, czy pistolety są w dobrym stanie.

— A! panie — zawołał młodzieniec, wyciągając rękę, jakby w zamiarze zatrzymania go. Zaklinam cię, nie narażaj życia w podobnym wypadku. Lepiej pan wejdź do oberży, by nie wzbudzić podejrzenia w tych co na niego czatują. Pomyśl pan, że tu idzie o honor kobiety.

— Masz pan słuszność — powiedział rycerz — chociaż w tej okoliczności rzecz nie idzie jedynie o honor, lecz o pieniądze. Castorin — dodał, obracając się do swego lokaja — już dziś nie pojedziemy dalej.

— Jakto!... — zawołał zdziwiony Castorin. Co pan mówisz?

— Mówię, że Franczyneta zostanie dziś wieczór pozabawioną przyjemności oglądania ciebie; noc bowiem dzisiejszą przepędzimy w oberży pod „Złotem Cieleciem“. Idź więc zamówić kolację i każ mi przygotować łóżko.

A ponieważ rycerz zauważył, że Castorin ma chętkę stawiać opór, do ostatnich więc słów swoich dodał znaczące poruszenie głową, które położyło tamę dalszej sprzecce.

Poczem Castorin zwiesiwszy głowę, i nie wyrzekłszy ani słowa, znikł w bramie.

Podróżny spoglądał przez chwilę za Castorinem, na-

stępnie, po chwilowym namyśle, powziął widać jakiś zamiar, zsiadł bowiem z konia, wszedł w bramę za swoim lokajem, rzucił mu cugle i pobiegł do pokoju młodzieńca.

Młodzieniec usłyszawszy szelest otwierających się drzwi, drgnął mimowoli z podziwienia i obawy; lecz gość nie dostrzegł tego w ciemności.

— A więc — rzekł podróżny, wesoło zbliżając się do młodzieńca i serdecznie ściskając rękę, której ten podać mu się wzbraniał — a więc winienem panu życie.

— A! pan za wysoko oceniasz mą przysługę — odpowiedział młodzieniec, cofając się w tył.

— POCO ta skromność? Pan istotnie ocaliłeś mi życie. Znam ja księcia. djabło on okrutny. Pan zaś, jak uważam, jesteś wzorem przenikliwości, feniksem miłości chrześcijańskiej. Ale, ale... powiedz no mi pan, czyś nie posłał tamczasem kogo, by uprzedzić o tym wypadku.

— Gdzie?

— Dokąd?

— Tam, gdzie jechałem... do domu, w którym na mnie czekają.

— Nie — odpowiedział młodzieniec — przyznam się panu, że o tem wcale nie pomyślałem, a gdyby mi nawet przyszło to do głowy, nie mógłbym spełnić mego zamiaru dla braku środków. Jestem tu sam zaledwie od dwóch godzin, i nie znam nikogo w oberży.

— A! do diabła!... — mruknął podróżny z widoczną niespokojnością. Biedna Nanona! Daj Boże, żeby się jej nic złego nie przytrafiło.

— Co za Nanona?... Czy Nanona de Lartigues!... — zawołał młodzieniec zdumiony.

— Ależ pan jesteś czarownikiem?... — rzekł podróżny. Pan widzisz czatujących na drodze ludzi i zgadujesz na kogo się zasadzili. Ja mówię imię, a pan natychmiast nazwisko odgadujesz. Wyjaśnij mi pan czempredzej, bo w przeciwnym razie, gdy go zaskarżę, parlament w Bordeaux na stos pana skáže.

— O! jak na ten raz nie wiele potrzeba było przenikliwości, by odgadnąć o co rzecz idzie. Przecież już pan wymieniłeś księcia d'Epéron jako swego rywala; potem wspomniałeś o Nanonie. Musi to być więc też sama piękna, bogata, dowcipna Nanona de Lartigues, w której książe do szaleństwa jest rozkochany, i która rządzi jego prowincję.

cją, za co ją cała Guyenna, nienawidzi narówni z księciem... Więc pan jechałeś do tej kobiety?... — dodał młodzieniec z wyrzutem.

— Tak, przyznaję się... Ponieważ już wymieniłem jej imię, więc się nie wypieram. A chociaż nikt nie zna Nanony, wszyscy jej imię spotwarzają. Nanona jest to zachwycająca kobieta, wierna swoim obietnicom, dopóki te jej przyjemność sprawiają i oddaną duszą i ciałem temu, kogo kocha.. Miałem się z nią dziś wczerać, lecz książe stanął na zawadzie. Czy chcesz pan, żebym cię jutro jej przedstawił? Bo przecież książe odjedzie za parę godzin do Agen.

— Dziękuję panu — sucho odpowiedział młodzieniec. Znam pannę de Lartigues tylko z nazwiska, i nie mam chęci poznania jej bliżej.

— Przeciwnie, do kata! Nanona jest to kobieta pod każdym względem godna poznania.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

— A! wybacz pan — rzekł zdziwiony podróżny — lecz sądziłem, że w pańskim wieku...

— Bezwątpienia, w moim wieku przyjmują się już za zwyczaj podobne propozycje — odpowiedział młodzieniec, dostrzegłszy, że jego zbyt surowość zły sprawia skutek — i jabym je chętnie przyjął, gdybym nie musiał wyjechać jeszcze tej nocy.

— Nim się rozstaniemy, niech się przynajmniej dowiem, kto mi tak wspaniale życie ocalił.

Młodzieniec zdawał się wahać, jednak po chwili rzekł:

— Jestem wicehrabia de Cambes.

— Aha... — powiedziała ł podróżny — wiele słyszałem o przyjaciółce księżnej de Condé, pięknej wicehrabini de Cambes, posiadającej wiele dóbr około Bordeaux.

— To moja krewna — żywo odrzekł młodzieniec.

— Winszuję ci, wicehrabio; mówią, że piękność jej jest niezrównaną. Mam nadzieję, że przy sposobności przedstawiśz mnie jej. Jestem baron de Canolles, kapitan w Nawalskim pułku; teraz korzystam z urlopu, udzielonego mi przez księcia d'Epéron na prośbę panny de Lartigues.

— Baron de Canolles!... — zawołał wicehrabia, spoglądając na niego ze szczególną ciekawością, którą w nim

obudzało to nazwisko, wsławione we wszystkich prawie ówczesnych przygodach miłosnych.

— Czy pan mnie znasz?... — rzekł Canolles.

— Tylko z głośnej sławy — odpowiedział wicehrabia.

— I z niesławy, nieprawdaż?... Lecz cóż robić, każdy idzie za swą naturą. Ja lubię życie burzliwe.

— Pan jesteś zupełnie wolnym i możesz żyć, jak ci się podoba — odpowiedział wicehrabia. Lecz jednak pozwól pan sobie uczynić jedną uwagę.

— Jaką?

— Oto teraz kobieta z przyczyny pańskiej zostanie skompromitowaną, a ksiązę zemści się na niej za niepomysłność swej wyprawy.

— Do diabła... Tak pan sądzisz?

— Ma się rozumieć. I chociaż panna de Lartigues jest... płochą... jednakowoż jest kobietą, a nadto, skompromitowaną przez pana, pańskim więc teraz obowiązkiem jest czuwać nad jej bezpieczeństwem.

— Na honor, masz słusność, mój młody Nestorze; pańska rozmowa tak mnie zajęła, że zapomniałem o obowiązkach szlachcica. Zdradzono nas i ksiązę niezawodnie wie o wszystkim. Gdyby tylko można było uprzedzić Nanonę... ona jest tak zręczną... że pewnie wyślagałaby u księcia przebaczenie dla mnie. No, młodzieńcze, czy znasz wojnę?

— Jeszcze nie — odrzekł wicehrabia z uśmiechem — lecz sądzę, że się jej nauczę tam, dokąd jadę.

— Dobrze! otóż jej pierwsza lekcja. Wiesz zapewne wicehrabio, że tam, gdzie siła jest bezużyteczną, trzeba użyć wybiegu. Pomóż mi więc wykonać takowy.

— Jestem gotów. Lecz jakim sposobem? powiedz pan.

— Oberża ma dwa wyjścia.

— O tem nie wiem.

— Ja wiem jednak; jedno z nich prowadzi na wielki gościniec, a drugie na pole. Wyjdę do domku Nanony, w którym także są drzwi tylne.

— Dobrze! — a jeśli pana pochwyca w tym domku?... — zawołał wicehrabia. Jak widzę, doskonały z pana taktyk.

— Co pochwyca?... — powtórzył Canolles.

— Bezwątpienia. Ksiązę, znudzony czekaniem, wejdzie do domu .

— Lecz ja tam tylko chwilę zabawię, i natychmiast wyjdę.

— Skoro pan wejdiesz... już nie wyjdiesz więcej.

— Doprawdy, pan jesteś czarnoksiężnikiem.

— Porwą pana, i może w jej oczach zamordują.

— Ba!... — odrzekł Canolles — przecież ma szafy. szafy.

— O!... — mruknął wicehrabia.

To O! było powiedziane tak wymownie, mieściło w sobie tyle skrytych wyrzutów, tyle dziewiczej wstydlivosti, tyle słodkiej delikatności, że Canolles natychmiast się zatrzymał i pomimo ciemności, zwrócił swe przenikliwe spojrzenie na młodzieńca, opartego o okno.

Wicehrabia uczuł cały ciężar tego spojrzenia i rzekł wesoło:

— Zresztą, masz słusność, baronie, idź tam, lecz schowaj się dobrze, by cię nie schwytano.

— Nie, to pan masz słusność — powiedział Canolles — lecz jakżeż ją uprzedzić?

— Listem....

— A kto go zaniesie?

— Zdaje mi się, że za panem przyjechał służący; użyj go więc, bo w podobnych okolicznościach kiedy on naraża tylko swój grzbiet, pan mógłbyś to przypłacić życiem.

— W istocie tracę głowę — rzekł Canolles — Castorin sprawi się doskonale, tem lepiej, bo mam hultaja w podejrzeniu, że nawiązał w tym domu mały romans.

— Widzisz pan więc, że to wszystko da się załatwić — powiedział wicehrabia.

— I jak tak sądzę; czy pan masz atrament, papier i pióro?... — spytał baron.

— Nie mam — odrzekł wicehrabia — lecz wszystko można znaleźć na dole.

— Wybacz mi pan — powiedział Canolles — lecz sam nie wiem, co mi się dziś stało: głupstwo za głupstwem popełniam. Ale to nic nie szkodzi, dziękuję ci wicehrabio za twe dobre rady, które natychmiast przyprowadzę do skutku.

I Canoles, nie spuszczać oczu z młodzieńca, na którego od kilku chwil ze szczególną spoglądał uwagą, opuścił pokój i zeszedł ze schodów tymczasem wicehrabia, niespokojny i prawie pomieszany, mówił do siebie:

— Jak on na mnie spoglądał... czyżby mnie poznał?

Canolles zszedł na dół i ze smutkiem spoglądał na przepiórki, kuropatwy i inne przysmaczki, które Biscarros układał w koszyku.

Gniewało to barona, że te wszystkie apetyczne potrawy, pomimo, że jedynie dla niego były przeznaczone, zje jednak nie on, lecz kto inny.

Zapytał o pokój, zamówiony przez jego lokaja, kazał przynieść papieru, piór atramentu, i napisał do Nanony list następujący:

„Moja luba!

„Jeśli natura obdarzyła twe piękne oczy zdolnością widzenia w nocy, będziesz mogła dostrzec o sto kroków od swojej bramy, w gęstwinie drzew, księcia d'Épernon, czatującego by mnie zamordować, a następnie ciebie mocno skompromitować. Lecz ja wcale nie mam chęci tracić życia, ani też ciebie narażać na nieprzyjemności; w tym więc względzie możesz być zupełnie spokojną. Co do mnie, korzystając będę z urlopu, któryś wyjednała, chcąc mi ułatwić sposobność widzenia się z tobą. Gdzie pojedę sam nie wiem; nie wiem nawet, czy gdzie pojedę. Cokolwiekbądź się stanie, skoro burza przeminie, przywołaj wygnańca. W oberży pod „Złotem Cielęcim“ powiedzą ci, gdzie się udał. Mam nadzieję, że będziesz mi wdzięczną za ofiarę, którą dla ciebie uczynię, bo spokojność twoja, droższą mi jest nad własną przyjemność. Mówię przyjemność, gdyż prawdziwie z wielką przyjemnością wygrzmocilibym skórę księciu d'Épernon i jego towarzyszom.

„Wierzaj mi, życie moje, że jestem twym najzyczliwszym i najwierniejszym przyjacielem“.

Canolles, podpisawszy ten bilet, napisany z gaskońską fanfaronadą, był pewnym, że na Nanonie, jak i on gaskonce, silne uczyni wrażenie: następnie przywołał swego lokaja i rzekł:

— Zbliź-no się Castorin, i powiedz mi szczerze, jak dalekoś zaszedł z Franczynętą?

— Ależ panie — odpowiedział Castorin, zdziwiony pytaniem — nie wiem, czy mogę... czy powinienem...

— Bądź spokojny, ja względem niej żadnych nie mam zamiarów, nie będziesz miał zaszczytu być moim rywalem. Zadałem to pytanie jedynie dla mej wiadomości.

— A! to co innego; Franczyneta na tyle jest rozsądną, że umiała ocenić moje przymioty.

— Więc ty, hultaju, dobrze z nią jesteś?

— Doskonale!

— Weź więc ten bilet, odejdz łąką...

— Znam drogę panie — odpowiedział Castorin zarozumiale.

— To dobrze; zastukasz do tylnych drzwi; bezwątpienia znasz je?

— O! znam.

— Coraz lepiej... A więc idź przez łąkę, zastukaj do tylnych drzwi i oddaj ten list Franczyniecie.

— A potem, panie — rzekł z radością Castorin — czy mogę...

— Możesz powracać natychmiast, gdyż daję ci tylko dziesięć minut na odbycie tej drogi tam i napowrót. Ten list musi być oddany zaraz pannie Nanonie de Lartigues.

— Lecz panie — rzekł Castorin, zaczynając się domyślać, że tu się coś innego święci — a jeśli mi nie otworzą drzwi?

— To będziesz głupcem; przecież powinieneś mieć jakiś szczególny sposób stukania, za użyciem którego możesz być poznanym, nie potrzebując długo czekać za drzwiami. Jeśli się zaś stanie inaczej, będę szlachcicem godnym pożałowania, mając na swe usługi gapia takiego

— O tak! mamy znak umówiony — odpowiedział Castorin ze zwycięską postawą. Naprzód stukam dwa razy, a po niejakiem czasie dodaję trzecie uderzenie.

— Nie pytam się, jakim stukasz sposobem, bo mnie to nie obchodzi, główną tylko jest rzeczą, żeby ci otworzono. Ruszaj więc, a jeśli cię schwyć, zjedz papier, gdyż inaczej, za powrotem obetnę ci uszy.

Castorin wybiegł jak błyskawica, lecz będąc już na polu zatrzymał się i wbrew wszelkim prawidłom przyzwoitości, wsunął w but bilecik.

Potem wyszedł tylną bramą, obiegił całą łąkę, przedzierając się przez krzaki jak lis, przeskakując przez doły jak chart, i wkrótce zaczął pukać do ukrytych drzwi domku, tym umówionym sposobem, który starał się objaśnić swemu panu: pukanie to było skuteczne, drzwi bowiem natychmiast otworzono.

W dziesięć minut Castorin wrócił ze swej wycieczki

a nie doznawszy żadnego wypadku, uwiadomił barona, że bilet znajduje się już w pięknych rączkach Nanony.

Canolles w ciągu tych dziesięciu minut, rozpakował swój tłomoczek, przygotował sobie szlafrok i kazał przynieść kolację.

Z widocznem zadowoleniem słuchał doniesienia Castorina.

Wyszedł do kuchni, głośno wydawał rozkazy na całą noc, ziewając ciągle, jak człowiek, z niecierpliwością oczekujący chwili spoczynku.

Tym sposobem baron miał na celu okazać księciu d'Epernon (jeśli książę szpieguje go jeszcze), że wcale nie było zamiarem jego jechać dalej jak do oberży, w której, jako zwyczajny i spokojny podróżny chciał prosić o kolację i nocleg.

W rzeczy samej projekt ten otrzymał skutek, jakiego właśnie spodziewał się baron: wieśniak jakiś, siedzący przy butelce w najciemniejszym kącie sali, przywołał chłopca, zapłacił swą należność, wstał i wyszedł po cichu, mruczając pod nosem piosnkę.

Canolles szedł za nim do bramy i widział, jak wieśniak ten znikł w gęstwinie drzew; w kilka minut potem dał się słyszeć tentent koni.

Towarzysze księcia odjechali.

Baron powrócił do swego pokoju, a uspokoiwszy się co do Nanony, przemyślał nad sposobami przepędzenia wieczoru jak najwesелей.

Dlatego kazał Castorinowi przygotować karty i kości, a następnie iść zapytać wicehrabiego, czy zechce go przyjąć.

Castorin poszedł; lecz na progu pokoju wicehrabiego, spotkał starego siwego masztalerza, który uchyliwszy drzwi, odpowiedział na jego powitanie nieprzyjemnym głosem:

— W tej chwili nie można wejść; pan wicehrabia jest zajęty.

— I tak dobrze — rzekł Canolles, słysząc tę odpowiedź — a więc zaczekam.

Podczas tego dał się słyszeć w kuchni straszny hałas; baron, dla zabicia czasu, poszedł zobaczyć, co się stało w tej tak ważnej części oberży.

Hałasu tego narobił kuchcik, zanoszący kolację dla Nanony.

Na skrócie drogi zatrzymało go czterech ludzi, wypytując o cel mocnej przechadzki.

Dowiedziawszy się, że niesie kolację do właścicielki samotnego domku, zdjęli mu czapkę, białą kurtkę i fartuch; najmłodszy z nich przywdział ubiór kuchcika, a postawiwszy kosz na głowie, poszedł zamiast niego ku domkowi Nanony.

W kilka minut powróciwszy, zaczął rozmawiać po cichu z tym, co zdawał się być dowódcą oddziału.

Wtedy oddano kuchcikowi czapkę, kurtkę i fartuch, postawiono mu koszyk na głowie i puszczono.

Nieborak niczego więcej nie pragnąc, uciekał, co mu sił stało, a ze strachu i znużenia padł prawie bez czucia na progu oberży, skąd go podniesiono.

Wypadek ten był niezrozumiały dla wszystkich, prócz barona, który nie mając żadnego powodu objaśnić go, pozwolił gospodarzowi, chłopcom, posługaczkom, kucharczowi i kuchcikowi gubić się w domysłach, a gdy ci toczyli spory, udał się do wicehrabiego.

Sądząc, że pierwsze oznajmienie jego odwiedzin posłane przez Castorina, uwalnia go od drugiego podobnego kroku, bez ceremonji otworzył drzwi i wszedł.

Na środku pokoju stał oświetlony stół z dwoma nakryciami, brakowało tylko jedzenia.

Canolles spostrzegł te dwa nakrycia, wyprowadzając z tego pomyslną dla siebie wróżbę.

Jednakowoż wicehrabia spostrzegłszy go, powstał tak nagle, że nie trudno poznać było baronowi, iż odwiedziny jego zdziwiły młodzieńca, i że to drugie nakrycie nie dla niego było przygotowane.

Wątpliwość ta, po pierwszych słowach wicehrabiego, rozwiązaną została.

— Mogęż wiedzieć, baronie — spytał młodzieniec, ceremonjalnie przystępując ku niemu — czemu winienem zaszczyt ponownych odwiedzin pańskich?

— Najprostszemu wypadkowi — odpowiedział Canolles, zrażony nieco niegrzecznym przyjęciem wicehrabiego. Zachciało mi się jeść, sądziłem więc, że i pan masz apetyt. Pan jesteś sam, ja także, przyszedłem go więc prosić do siebie na kolację.

Wicehrabia spojrział na barona z widoczną nieufnością; zdawało się, że nie wie co odpowiedzieć.

— Na honor — rzekł Canolles, śmiejąc się — pan mnie się boisz. Czy czasem nie jesteś wicehrabio kawalerem Maltańskim? może wstępujesz do zakonu, albo co być może, szanowni rodzice pana wpoili w niego odrazę do familji baronów de Cannoles? Lecz na Boga! ja nie zgubię pana, jeśli przepędzimy godzinę przy jednym stole.

— Nie mogę iść do ciebie, baronie.

— A więc pan nie chodź do mnie... lecz kiedy ja już przyszedłem...

— Tem bardziej baronie przyjąć cię nie mogę. Czekam na kogoś.

Canolles zmięszał się.

— A! pa czekasz na kogoś?... — powiedział.

— Tak jest.

— Na honor!... — rzekł Canolles po chwili milczenia — wolałbym wicehrabio, gdybyś nie zważając na grożące mi niebezpieczeństwo w chwili naszego poznania, nie zatrzymywał mnie, niechby się ze mną co bądź stało... niż odrazę jaką mi okazujesz, niweczył usługę, za którą jeszcze nie dosyć ci podziękowałem.

Młodzieniec poczerwieniał i zbliżając się do barona...

— Przebacz mi panie — rzekł drżącym głosem — widzę, że bardzo jestem niegrzeczny. Gdyby nie ważne rodzinne interesy, o których pomówić muszę z osobą, na którą czekam, poczytałbym sobie za szczęście wieszając z panem; chociaż...

— O! kończ pan — powiedział Canolles — cokolwiek mi powiesz, postanowiłem nie gniewać się na ciebie.

— Chociaż — mówił dalej młodzieniec — znajomość nasza jest dziełem czy to nieprzewidzianego wypadku, czy też nagłego spotkania.

— I cóż to stanowi?... — spytał Canolles. Przeciwnie, właśnie w takich przypadkach zawiązuje się najtrwalsza i najszczerza przyjaźń, lecz to co pan przypisujesz przypadkowi, zdziałała Opatrzność.

— Opatrzność — odparł wicehrabia z uśmiechem. Ja chcę wyjechać stąd za dwie godziny, lecz drogą zupełnie przeciwną tej, którą pan pojedziesz; chciej mi wierzyć, baronie, że mocno żałuję, nie mogąc przyjąć przyjaźni, któ-

rażę mi z całego serca ofiarujesz, a której wartość cenić umiem.

— Na honor!... — rzekł Canolles — szczególnym jesteś chłopcem wicehrabio; twój pierwszy wyskok wspaniałomyślności natchnął mię zupełnie inną o twym charakterze myślą. Lecz wreszcie, niech się stanie podług twej woli; nie mam prawa być wymagającym, gdyż zrobiłeś dla mnie daleko więcej, niż mogłem się spodziewać od nieznanego. Pójdę więc wieczerzać sam; lecz przyznam ci się, wicehrabio, że mi to z przykrością uczynić przyjdzie; nie bardzo lubię monologu.

I w rzeczy samej, pomimo swej obietnicy i postanowienia aby odejść, Canolles nie odchodził; stał jak przykuty na miejscu, jakaś nieprzewyciężona siła przyciągała go do wicehrabiego, z czego sobie sam zdać sprawy nie umiał.

Tymczasem młodzieniec wziął świecę, zbliżył się do barona z zachwycającym uśmiechem i podając mu rękę, rzekł:

— Panie, chociaż nasze widzenie się dosyć było krótkie, cieszę się jednak, mogąc być panu choć w czemkolwiek pożytecznym.

Canolles widział w tych słowach prostą tylko grzeczność, uściśnął rękę sobie podaną. Lecz wicehrabia, nie odpowiadając na jego męskie i przyjacielskie uściśnienie, wyrwał z jego dłoni swoją, drżącą i rozpaloną.

Tutaj baron pojmując, że młodzieniec jak najgrzeczniejszym sposobem pragnie go się pozbyć, wyszedł, zadowolony w swoich nadziejach, z zadumą na czole.

We drzwiach spotkał bezzębny uśmiech starego lokaja, który, odebrawszy świecę z rąk wicehrabiego, ceremonjalnie odprowadził barona do jego pokoju i natychmiast powrócił do swego pana, czekającego na schodach.

— No i cóż? — spytał wicehrabia po cichu.

— Zdaje się, że postanowił wieczerzać sam, odpowiedział. Pompée.

— A więc już tu nie wejdzie?

— Tak sędzę przynajmniej.

— Każ przygotować konie, tym sposobem zawsze zyskamy na czasie. Lecz — dodał wicehrabia, nadstawiając ucha — co to za hałas? Zdaje mi się, że to głos Richona.

— I barona de Canolles.

— Oni się kłócą.

— Przeciwnie, poznają się, racz pan słuchać.

— A! jeśli Richon wygada się!

— Nie ma się czego obawiać, to człowiek bardzo ostrożny.

— Tss... tss...

Obaj zamilkli; po niejakię chwili dał się słyszeć głos barona.

— Daj dwa nakrycia, Biscarros!... — krzyczał Canolles — prędzej!... dwa nakrycia!... Pan Richon wieczerza ze mną.

— O!... nie!... — odpowiedział Richon — niepodobna.

— Dlaczego!... więc pan chcesz wieczerzać sam, jak ten młody szlachcic?

— Co za szlachcic?

— Ten na górze.

— Co za jeden?

— Wicehrabia de Cambes.

— Więc pan znasz wicehrabiego?

— A jakże! ocalił mi życie.

— On?

— Tak, on.

— Jakim sposobem?

— Zostań pan ze mną, przy wieczerzy opowiem ci wszystko.

— Nie mogę, wieczerzam u niego.

— W rzeczy samej on czeka na kogoś.

— To na mnie, a ponieważ się już spóźniłem, pozwolisz więc baronie, życzyć ci dobrej nocy?

— Nie, do diabła... nie pozwolę na to!... — zawołał Canolles. — Zamierzyłem wieczerzać w towarzystwie, a więc albo pan ze mną, albo ja z panem wieczerzać muszę. Biscarros dwa nakrycia.

Lecz gdy Canolles odwrócił się i uważał, czy jego rozkaz spełniono, Richon wbiegł na schody. Na ostatnim stopniu, ręka jego spotkała małą rączkę, która wciągnęła go do pokoju wicehrabiego de Cambes, zamknęła drzwi, a dla większego bezpieczeństwa, zasunęła go na dwa rygle.

— Niech diabli porwą — mruczał Canolles, napróżno szukając oczyma Richona i siadając do osamotnionego stołu — nie wiem doprawdy, dlaczego wszyscy są przeciwko mnie w tym przekętym kraju; jedni ścigają mię, aby

zabić, drudzy uciekają jak od zapowietrzonego. Do diabła! mój apetyt słabnie; nudzę się niewypowiedzianie, gotów jestem upić się dzisiaj. Hej!... Castorin, chodź tu, objeź ci skórę!... Obaj zamknęli się tam na górze, jak gdyby knuli jakiś spisek, tak... i to mi wszystko wyjaśnia. Ale teraz jeszcze pytanie... na czyją korzyść?... czy na korzyść Koadjutora? Książąt? Parlamentu, czy nakoniec, na korzyść Królowej? lub też Kardynała Mazzariniego? Lecz zresztą niech sobie knują spiski przeciw komu tylko zechcą, wszystko mi jedno, bo mój apetyt zaczyna powracać. Castorin, każ podać kolację i nalej mi wina... Przebaczam ci już.

I Canolles filozoficznie wziął się do pierwszej kolacji przygotowanej dla wicehrabiego de Cambes. Biscarros, bowiem, z braku świeżej żywności, zmuszony był podać baronowi odgrzaną.

ROZDZIAŁ IV

Podczas gdy baron de Canolles napróżno szukał towarzystwa do kolacji, i po bezowocnych poszukiwaniach, postanawia wieczerzać sam, zobaczmy, co się dzieje u Nanony.

Nanona, pomimo wszystkiego, co o niej mówili i pisali jej nieprzyjaciele, a do liczby jej nieprzyjaciół należy policzyć wszystkich historyków nią się zajmujących, była w tej epoce śliczną kobietą, od dwudziestu pięciu do dwudziestu sześciu lat wieku; małego wzrostu, cery śnieżnej, wspaniałej i pełnej wdzięku postawy, z żywym i świeżym rumieńcem i z czarnymi jak węgiel oczyma, rzucającymi ogniste promienie. Powierzchnie, Nanona zdawała się być wesołą i chętną do śmiechu; lecz w istocie, bardzo rzadko oddawała się dziwactwu i swawolom, napełniającym zwykle życie młodej kobiety, żyjącej miłością.

Przeciwnie, najważniejsze plany, obmyślane w jej głowie, stawały się zajmującymi i jasnymi, skoro je objawiał jej drżący głos, silnie nacechowany narzeczem gaskońskim. Nikt nie zgadłby, że pod tą różaną maską z delikatnymi i wesołymi rysami, za tem spojrzeniem, pełnem rozkosznych obietnic i błyszczącym żywymi zapałami, ukrywa się niezwykła stałość głębokość widoków ministra.

A jednak, takie były przymioty lub wady Nanony, według tego z jakiej strony kto na nią patrzeć będzie; taki był jej wyrachowany umysł, takie było jej chciwe sławy serce, dla których jej cudne ciało za pokrywkę służyło.

Nanona urodziła się w Agen.

Książę d'Epéron, syn owego nierozłącznego przyjaciela Henryka IV-go, jego samego, co siedział z królem

w powozie, w chwili, gdy sztylet Ravaillica wykonał na nim zbrodnię ohydną, księżę d'Epemon mianowany gubernatorem Guyenny, gdzie go powszechnie nienawidzono za jego dumę, gwałty i łupiestwa, poznał tam małą mieszczańkę, córkę adwokata. Wtedy postanowił, że ona do niego koniecznie należeć musi; i chociaż wprawdzie długo mu się opierała, w końcu jednak uległa; a działając zawsze ze zręcznością wielkiego taktyka, choć zwalczona, tę osiągnęła korzyść, że dała uczuć księciu całą wartość jego zwycięstwa.

Lecz wzamian za odebraną jej przez księcia dobrą sławę. Nanona odjęła mu jego wolność i potęgę.

W pół roku po zawarciu przyjaznych stosunków, łączących gubernatora Guyenny z Nanoną, ta ostatnia wyłącznie rządziła całą tą piękną prowincją, płacąc z lichwą za otrzymane krzywdy i zniewagi tym wszystkim, co ją przedtem obrazili lub poniżyli. Trafem zastawszy królową, z wyrachowania zmieniała się w tyrana, przewidując swoim byстрыm rozumem, że krótkość panowania trzeba będzie dopełnić bezprawiami.

Dlatego Nanona zawładnęła wszystkim; ogarnęła skarby, wpływy, zaszczyty.

Była bogatą, rozdawała urzędy, przyjmowała kardynała Mazzarini i pierwszych panów dworu; z zadziwiającą zręcznością władając swoją potęgą, z korzyścią użyła jej na ustalenie sobie znaczenia i nagromadzenia majątku.

Każda usługa przez nią wyświadczona, hojnie opłacaną być musiała.

Stopień w armji, urząd w sądzie, miał stałą cenę.

Nanona nadawała stopnie i urzędy, byle jej za to płacono pieniędzmi gotowemi, albo bogatym królewskim podarkiem; tym sposobem, wypuszczając z rąk część swjej władzy, odzyskiwała ją zaraz pod inną postacią; oddając władzę, otrzymywała pieniądze, a pieniądze jak wiemy są najsilniejszą sprężyną władzy.

To objaśnia długotrwałość jej panowania, gdyż ludzie, czujący do kogo nienawiść, nie lubią obalać nieprzyjaciela, któremu pozostanie jakakolwiek pociecha.

Zemsta... żąda zupełnego zniszczenia, zupełnej zagłady. Ludy z żalem wypędzają tyrana, który unosząc ich złoto jeszcze się z nich naśmiewa.

A Nanona miała dwa miliony!...

Dlatego też prawie spokojnie żyła na tym wulkanie, ciągle w koło niej wrzącym; czuła zemstę ludu, wznoszącą się jak morze podczas przyływu i roztrącającą swemi bałwany władzę księcia d'Épernon, który będąc wygnanym z Bordeaux, uprowadził z sobą Nanonę, jak okręt pociągający łódkę.

Nanona poddała się burzy, obiecując sobie odemścić za wszystko, skoro ta przeminie; wzięła za wzór kardynała Mazarini, i jak pokorna uczennica naśladowała politykę zręcznego i chytrego włocha.

Kobieta ta zwróciła uwagę kardynała, bo wzniosła się i zbogaciła temi samemi środkami, jakie jego postawiły na stopniu pierwszego ministra, posiadacza pięćdziesięciu milionów.

Uwielbiał on małą gaskonkę; uczynił nawet więcej, bo zostawił ją w spokoju, pozwolił jej działać; być może, że później poznamy przyczynę tego pobbżazania.

Pomimo to wszystko i chociaż niektórzy zapewniali, że Nanona koresponduje z kardynałem Mazarini, mało mówiono o politycznych intrygach pięknej gaskonki.

Nawet sam Canolles nie wiedział, co ma myśleć w tym względzie o Nanonie. Co się zaś tyczy intryg miłosnych, to nawet sami jej nieprzyjaciele nic o nich nie mówili; może być dlatego, że Nanona będąc zajęta ważnemi sprawami odłożyła je do późniejszego czasu; może wreszcie dlatego, że miłość księcia d'Épernon, główną wszystkich uwagę zwracała.

Canolles mógł więc sądzić, że Nanona do chwili jego przybycia, była niezwyccieżoną.

Nanona i Canolles poznali się w następujący sposób:

Canolles był porucznikiem w Nawalskim pułku; zapragnąwszy być kapitanem, musiał napisać list do księcia d'Épernon, naczelnego dowódcy piechoty. Nanona przejęła list i sądząc, że sprawa ta może być korzystną pod względem pieniężnym, naznaczyła baronowi schadzkę. Canolles wybrał z pomiędzy starożytnych rodzinnych kosztowności przepyszny pierścień, wartujący przynajmniej pięćset pistołów (zawsze to było taniej, niż kupić kompanję) i udał się na schadzkę; lecz na ten raz, zwycięzca Canolles, słynący już ze szczęścia do kobiet, pomieszał wszystkie

rachuby panny de Lartigues. Oboje pierwszy raz się widzieli: oboje byli młodzi, piękni i dowcipni. Widzenie ich upłynęło na wzajemnych grzecznościach; o stopniu nie było ani wzmianki, a jednak rzecz ta załatwioną została. Następnego dnia, Canolles otrzymał patent na kapitana, a kosztowny pierścień przeszedł z jego ręki na palec Nanony, już nie jako nagroda za spełnione żądanie, lecz jako zakład miłości szczęśliwej.

ROZDZIAŁ V

Historja dostatecznie wyjaśnia nam, dlaczego Nanona de Lartigues zamieszkała obok wsi Matifou. Powiedzieliśmy już, że księcia d'Epéron nienawidzono w Guyennie, jak również Nanonę, której przypisywano znowę ze złym duchem.

Rozruchy wyгнаły ich z Bordeaux i zapędziły do Agen. Lecz i w Agenie wszczęły się zamieszki.

Pewnego razu wywrócono na moście złoconą karetę, którą Nanona jechała do księcia. Nanona wpadła w rękę, Canolles ją wyratował; drugi raz w nocy, zapalił się dom Nanony; Canolles w sam czas wpadł do jej sypialni i uniósł z płomieni.

Nanona pomyślała, że trzecia próba może się udać mieszkańcom Agenu. I chociaż Canolles jak najmniej się oddalał, jednakowoż nie zawsze mógł znajdować się przy niej w chwili niebezpieczeństwa. Nanona korzystała z odjazdu księcia i jego świty składającej się z tysiąca dwustu ludzi, i wyjechała z miasta z księciem (w tym samym czasie co i Canolles), śmiejąc się w karetce z narodu, który gdyby śmiał, chętnieby podrzgotował tę karetę w kawałki.

Wtedy książę i Nanona, albo raczej Canolles, potajemnie wybrał małą wioskę, w której postanowiono, że Nanona mieszkać będzie, do czasu wykończenia jej domu w Libournie.

Canolles otrzymał urlop, nibyto dla ukończenia familijnych interesów; rzeczywiście zaś dlatego, aby mieć prawo opuścić pułk, stojący w Agen i niezbyt oddalać się od wsi Matifou, gdzie jego opiekuńcza obecność była teraz potrzebniejszą, niż kiedykolwiek.

Wypadki bowiem zaczęły przybierać postać zatrważającą; aresztowanie książąt de Condé, de Conti i de Lon-

gueville 17 stycznia i zamknięcie w Vincennes mogło dać kilku stronnictwom, dzielącym Francję w tej epoce, wyborny powód do rozpoczęcia wojny domowej. Nienawiść do księcia d'Epéron (wszyscy wiedzieli, że księżę zupełnie oddany jest dworowi) ciągle wzrastała; chociaż można się było spodziewać, że już więcej nie wzrośnie.

Wszystkie stronnictwa, które same nie wiedziały co mają robić w tem dziwnem położeniu, w jakim się Francja znajdowała, czekały rozwiązania, coraz bardziej koniecznym się stającego. Nanona, jak ptaszek przeczuwający burzę, zniknęła z horyzontu i ukryła się w swem zielonem gniazdeczku, aby tam w milczeniu skutku oczekiwać. Ogłosiła się wdową, a nadto, szukająca samotności: przypomnijmy sobie, że ją tak malował sam Biscarros.

Lecz powróćmy do rzeczy.

Księżę d'Epéron odwiedził zachwycającą pustelniczkę, w przeddzień rozpoczęcia naszej historji, i oznajmił jej, że wyjeżdża na tydzień w celu zwiedzenia prowincji.

Zaraz po jego wyjeździe, Nanona posłała przez poborcę podatków list do barona de Canolles, który korzystając z urlopu, mieszkał w okolicy wsi Matifou. Jak już wyżej powiedzieliśmy, oryginalny bilecik zaginął, a w miejsce tegoż Cauvignac posłał kopię jego. Właśnie na to zaproszenie jechał bezpieczny kapitan, gdy wicehrabia de Cambes, zatrzymał go czterysta kroków od celu podróży.

Resztę wiemy.

Nanona czekała na barona, tak jak czeka każda kochająca kobieta: dziesięć razy przez minutę spoglądała na zegar, co chwila podchodziła do okna, przysłuchując się najmniejszemu szmerowi i zapytując spojrzeniem czerwona-
we, świetne słońce, chowające się za góry, by ustąpić miejsca pierwszym cieniom nocy.

Naprzód zastukano do drzwi wchodowych: Nanona wysłała Franczynetę; pukającym był wybrany kuchcik, przynoszący kolację. Naraz, wyjrawszy do przedpokoju, zobaczyła innego jak zazwyczaj posłańca, który nawzajem zagłębiwszy spojrzenie w sypialni, ujrzał stojący tam stół, a na nim dwa nakrycia.

Nanona kazała Franczynecie odgrzać kolację, ze smutkiem zamknęła drzwi i powróciła do okna, z którego, pomimo nocnej pomroki, mogła widzieć drogę samotną.

Drugie uderzenie, zupełnie odmienne od pierwszego, rozległo się u małych tylnych drzwiczek.

— Otóż i on!... — zawołała Nanona.

Lecz w obawie, żeby to nie był kto inny, nieruchoma, nateżając uwagę, zatrzymała się na środku pokoju.

Po chwili drzwi się rozwarły; na progu ukazała się Franczyneta, milcząca, zmieszana z bilecikiem w rękę.

Młoda kobieta spostrzegła bilet, rzuciła się do swej słuchającej, wyrwała go z jej rąk i spiesznie rozpieczętowała.

List ten ugodził ją jakby piorunem: Nanona bardzo kochała barona de Canolles, lecz duma jej wyrównywała uczucie miłości.

Tracąc księcia d'Épernon, traciła nietylko całe swe szczęście przyszłe, ale być może i przeszłe nawet.

Lecz chociaż zmieszana, nie tracąc chwili czasu, rozpoczęła działać.

Przedewszystkiem zgasila świecę, mogącą zdradzić jej cień, a następnie przybiegła do okna. Wyjrzała w samą porę, właśnie w chwili, gdy czterech ludzi zbliżało się do domku, od którego już znajdowali się nie więcej jak o dwadzieścia kroków. Człowiek w płaszczu postępował pierwszy; Nanona poznała w nim księcia d'Épernon.

W tej chwili weszła do pokoju Franczyneta ze świecą. Nanona rozpaczliwe spojrzenie rzuciła na stół, na dwa nakrycia, dwa krzesła, dwie świetnej białości haftowane poduszki, wychylające się z po za czerwonych adamaszkowych firanek; nakoniec na swój wyszukany negliż nocny tak dobrze harmonizujący z temi wszystkimi przygotowaniami.

— Zginęłam — pomyślała.

Lecz w tejsze chwili, uśmiech przebiegający po ustach, kazał się domyślać, że w tej twórczej głowie zabłysła myśl ocalenia.

Z szybkością więc błyskawicy porwała szklanekę z prostego kryształu, przygotowaną dla barona i wyrzuciła do ogrodu, stawiając w jej miejsce wyjęty z futerału złoty, herbem księcia ozdobiony kubek, wraz z serwisem z pozłacanego srebra; a potem, drżąc z bojaźni, lecz z fałszywym na ustach uśmiechem, zesłała po schodkach i przysunęła się do drzwi właśnie w chwili, kiedy się rozległo ciężkie i uroczyste uderzenie.

Franczyneta chciała otworzyć, lecz Nanona porwała ją

za rękę, odepchnęła na bok i rzuciwszy na nią to szybkie spojrzenie, które u kobiet na uczynku schwytych tak dobrze myśl dopełnia, rzekła:

— Czekałam na księcia d'Épernon, a nie na barona de Canolles. Dawaj do stołu.

Następnie sama odsunęła rygle i rzucając się na szyję rycerza z białym piórem, przybierającego groźną postawę zawołała:

— A!... a więc sen mnie nie omylił. Chodź księżę, wszystko już gotowe: będziemy wieczerzać

D'Épernon osłupiał, ale że pieszczoty pięknej kobiety zawsze są miłe, nie odrzucił więc pocałunków Nanony.

Lecz przypomniawszy sobie w tej chwili, iż posiada w swych rękach oczywiste dowody oskarżające Nanonę, zlekka ją odsuwając, rzekł:

— Chwilkę, panno, przed kolacją musimy się porozumieć.

I dawszy ręką znak swoim służalcóm, którzy z uszanowaniem oddalili się o kilkadziesiąt kroków, wszedł do domu ciężkim, wymierzonym krokiem.

— Co ci jest, kochany księżę?... — spytała Nanona z wesołością tak dobrze udaną, że możnaby ją wziąć za naturalną — czyś czasem nie zapomniał czego, będąc tu ostatnim razem, bo z taką bacznością spoglądasz po wszystkich kątach.

— Tak — odpowiedział księżę — zapomniałem ci powiedzieć, że nie jestem głupcem, nie Żerontem, jakich wystawia w swoich komedjach Cyrano de Bergérac. Zapomniawszy ci o tem powiedzieć, powracam, by tego dowieść.

— Nie rozumiem cię, Mości księżę — odrzekła Nanona jaknajspokojniej. — Błagam cię, wytłumacz mi to wszystko.

Spojrzenie księcia zawisło na dwóch krzesłach; z dwóch krzeseł przeszło na dwa nakrycia, z nakryć na dwie poduszki. Tu, spojrzenie jego nieco dłużej się zatrzymało.

Księżę poczerwieniał z gniewu.

Nanona, powiedziawszy to, oczekiwała skutku z uśmiechem, odkrywającym jej ząbki, białe jak perły. Lecz uśmiech ten był raczej do dreszczu podobnym, a te tak białe ząbki niezawodnieby zgrzytały, gdyby od strachu nie były się zacisnęły.

Księżę zwrócił na nią zagniewane spojrzenie.

— Czekam — rzekła Nanona, powabnie kłaniając się. — Co Wasza książęca mość chciała wiedzieć?

— Chciałem wiedzieć, na czyje przyjęcie przygotowałaś kolację.

— Już ci powiedziałam, Mości książę, zem miała sen, co mi oznajmił, że chociaż opuścisz mnie wczoraj, dziś jeszcze, znowu do mnie powrócisz. A sny mnie nigdy nie zwodzą. Ta kolacja więc oczekuje na ciebie, kochany książę.

Książę skrzywił się, co ujść miało za ironiczny uśmiech.

— A te dwie poduszki? — spytał.

— Jakto! książę, przyjechawszy do mnie, chciałbyś na nocleg wracać do Libournu? O! jeśli tak, sen zawiódłby mnie tą razą, a on rokował, że książę pozostaniesz u mnie.

Książę po raz drugi skrzywił się, a skrzywienie to więcej jeszcze było znaczącem, niż pierwsze.

— A ten zachwycający negliż pani, ta miła woń, te wyborne pachnidła?...

— Jestem ubrana, jak zawsze, kiedy cię oczekuję, mości książę, a pachnidła zwykły uprzyjemniać mój buduar, gdyż sam mi mówiłeś, że je bardzo lubisz.

— A więc czekałaś na mnie?... — zapytał książę szczerzo.

— Co to jest!... — odpowiedziała Nanona, również brwi marszcząc — czy nie masz książę zamiaru zaglądania do szaf?... Czy czasem nie jesteś zazdrosnym?

I tu parsknęła śmiechem.

Książę przybrał majestatyczną postać.

— Ja zazdrosnym!... O!... dzięki Bogu, nie jestem tyle śmiesznym! Będąc starym, wiem, że jestem stworzony nato, aby mnie oszukiwano; lecz tym, co mię oszukują, chciałbym przynajmniej dowieść, że nie jestem dudkiem.

— A jakże im tego dowiedziesz, Mości książę?... — zapytała Nanona — ciekawa jestem wiedzieć...

— O!... nie jest to tak trudnem, tymczasem pokażę ci tylko pewien papier.

— Mnie się już nic nie śni; w moich latach nie miewa się snów; lecz zato odbieram listy. Przeczytaj ten, jest on dość zajmujący.

Nanona ze drżeniem odebrawszy z rąk księcia bilet, zmieszała się bardzo na widok charakteru pisma, jednak-

że wzruszenie to uszło przed bystrem spojrzeniem księcia; z udaną więc obojętnością czytała te wyrazy:

„Niniejszem uprzedzam księcia d'Epéron, że dzisiejszego wieczoru mężczyzna, który już od pół roku jest w poufnych stosunkach z panną Nanoną de Lartigues, przybędzie do niej w zamiarze zostania na kolacji i noclegu.

„Nie chcąc pozostawić księcia d'Epéron w nieświadomości, oznajmiam mu, że tym szczęśliwym rywalem jest: Baron de Canolles“.

Nanona zbladła; cios ten ugodził ją w samo serce.

— A! Rolandzie! Rolandzie, — szepnęła — sądziłam, że się już ciebie pozbyła na zawsze.

— A co? czy dobrze jestem zawiadomiony? — zapytał książę, triumfując z radości.

— O!... bardzo źle — odpowiedziała Nanona — i jeśli twoja polityczna policja nie jest lepszą od miłosnej, to cię mocno żałuję...

— Żałujesz mnie?

— Tak, gdyż wcale tu nie ma tego barona de Canolles, któremu niezastąpienie przypisujesz zaszczyt, być twoim rywalem. Zresztą, możesz zaczekać, a dowiesz się, czy przybędzie...

— O! już przybył!

— On!... — zawołała Nanona. — To kłamstwo!...

Na ten raz głęboka prawda przebijała się w wykrzykniku obwinionej kobiety.

— Chciałem powiedzieć — rzekł książę — że się znajdowałem o kilkaset kroków stąd i że na swoje szczęście zatrzymałem się w oberży pod „Złotem cielęcim“.

Nanona pojęła, że książę wie coś, lecz nie wszystko, a nawet mniej, niż się spodziewała. Wzruszyła więc ramionami na znak zdziwienia; po chwili powzięła zamiar, jakim ją natchnął ów list, który na wszystkie strony w swych drobnych obracała rączkach.

— Czy być może — rzekła pewna siebie Nanona — aby człowiek genialny, najślawniejszy polityk Francji, wierzył listom bezimiennym?

— Prawda, że bezimienny, ale jakże mi go objaśnisz?

— O!... objaśnienie nie jest trudnem: list ten jest dalszym ciągiem podstępów naszych nieprzyjaciół z Agen. Baron de Canolles prosił cię o urlop, dla załatwienia in-

teresów familijnych; udzielił mu go. Dowiedziano się, że będzie tędy przejeżdżał i z tego to wysnuto tak śmieszne oskarżenie.

Nanona dostrzegła, że oblicze księcia zamiast się wyjaśniać, coraz się bardziej zasępić poczęło.

— Objaśnienie to byłoby dostatecznem — rzekł tenże — gdybym w liście, którego utwór przypisujesz swoim nieprzyjaciółom, nie było dopisku, którego w pomieszaniu zapomniałaś przeczytać.

Śmiertelny dreszcz przebiegł po ciele nieszczęsnej kobiety; czuła, że jeśli przypadek nie przyjdzie jej w pomoc, nie będzie miała dłużej sił do wytrzymania walki.

— Dopisek! — odrzekła.

— Tak, przeczytaj — mówił książę — masz przecież list w ręku.

Nanona starała się uśmiechnąć; lecz chociaż wiedziała, że jej skurczone rysy twarzy nie będą zdolne wytrzymać uśmiechu, czytała jednak dość pewnym głosem:

Dopisek ten brzmiał:

„Mam w swych rękach list panny de Lartigues do barona de Canolles; w nim schadzka naznaczoną jest na dzisiejszy wieczór; list ten oddam w zamian blankietu Księcia, jeśli Wasza książęca mość raczysz mi go przesłać przez człowieka, który winien się znajdować sam na Dordonji, naprzeciw wsi Saint - Michel — la Rivière o szóstej godzinie wieczór“.

— I byłeś tyle nierozsądnym, że posłałeś!... — rzekła Nanona.

— Twoje pismo tak mi jest drogie, że, aby go dostać, nie pomyślałem nawet, o nałożonej nań cenie.

— Wystawiać podobną tajemnicę na gadatliwość niewiernego zausznika!... A! książę!...

— Masz słuszność: podobnego rodzaju zlecenia nie powierzają się nikomu; i ja też tak uczyniłem. Sam udałem się łódką na Dordogne.

— A więc masz mój list, Mości książę?

— Oto jest.

Nanona zebrała całą pamięć, starając się przypomnieć treść owego listu.

Lecz było to niepodobnem; w głowie zaczęło się jej mieszać.

Była więc przymuszona wziąć i przeczytać swój własny

list; cztery tylko wiersze składały go; Nanona przebiegła je jednym rzutem oka i z niewypowiedzianą radością poznała, że list ten niezupełnie ją pognębiał.

— Czytaj na głos — rzekł książę — bo już zapomniałem treści jego.

Nanona odzyskała uśmiech, którym napróżno od kilku chwil chciała twarz swą ubarwić, i posłuszna wezwaniu księcia, przeczytała:

„Wieczorem o ósmej godzinie. Czy będziesz wolnym? Ja nią jestem. Bądź więc akuratnym, kochany baronie, i nie obawiaj się o naszą tajemnicę“.

— Jakże! czy to nie jest dość jasne!... — zawołał książę, blady z wściekłości.

— To mnie zbawi — pomyślała Nanona.

— Aha!... — mówił dalej książę — między wami jest jakaś tajemnica!

Nanona pojęła, że jedna chwila wahania może ją zgubić.

Zresztą, zdołała już obmyśleć plan obrony.

— Tak, prawda — powiedziała, bacznie spoglądając na księcia — mam tajemnicę z tym szlachcicem.

— Sama się więc przyznajesz!... — wrzasnął książę d'Epéron.

— Muszę to uczynić, bo czyż można ukryć co przed tobą?

— Oho!... — krzyknął książę.

— Tak, czekałam na barona de Canolles — spokojnie powiedziała Nanona.

— Czekaaś na niego?

— Czekaałam!

— I śmiesz jeszcze do tego się przyznawać?

— Śmiem! A teraz, czy wiesz kto jest baron de Canolles.?

— Bezczelny zuchwalec, którego ukarzę srogo za pierwszym spotkaniem.

— O! nie jest to uczciwy i męzny szlachcic, któremu i nadal nie odmówisz swych względów.

— O! przysięgam na Boga! nic z tego nie będzie!

— Nie przysięgaj, Mości książę, a przynajmniej dopóty, dopóki mnie nie wysłuchasz — odrzekła Nanona z uśmiechem.

— Mów więc, tylko prędko...

— Czyżeś nie dostrzegł ksiązę, ty, co przenikasz najskrytsze tajniki serca, żem się ciągle zajmowała baronem, ciągle się za nim do ciebie wstawiałam, żem mu wyrobiła patent kapitański, zasiłek pieniężny na podróż do Bretanji; z panem de la Meillaraye; nakoniec, ten niedawny urlop; jednym słowem, czy nie zwróciło twej uwagi, moje ciągle o nim staranie?

— Pani — rzekł ksiązę — już tego nadto.

— Czekaj końca, Mości ksiązę.

— Na cóż mam dłużej czekać? Co masz mi jeszcze do powiedzenia?

— Mam dla barona de Canolles największe współczucie.

— Wiem o tem!

— Kocham go duszą i ciałem.

— Pani, nadużywasz...

— Służyć mu będę do samej śmierci, a to dlatego...

— Dlatego, że jest twym kochankiem, wszak to nie trudne do odgadnienia.

— Dlatego — zawołała Nanona, chwyciwszy rękę drżącego od gniewu księcia — dlatego, że on.. jest moim bratem!

— Twoim bratem — wybąknął tenże.

Nanona pochyliła głowę na znak potwierdzenia, a zbladłe jej usta zwycięski ożywił uśmiech.

Po chwili ksiązę zawołał:

— Lecz to potrzebuje wyjaśnienia!

— Wszystko ci objaśnię — rzekła Nanona. — Powiedz mi, kiedy umarł mój ojciec?

— Już będzie temu z osiem miesięcy — odpowiedział ksiązę po chwilowym namyśle.

— A kiedy podpisałeś patent na kapitana baronowi de Canolles?

— Prawie w tymże samym czasie — odparł ksiązę.

— W dwa tygodnie po śmierci ojca — poprawiła Nanona.

— Być może...

— Przykro mi bardzo — mówiła dalej Nanona — opowiadać niesławę drugiej kobiety, rozgłaszać tajemnicę, która jest naszą tajemnicą, czy słyszysz ksiązę? Lecz twa zazdrość zmusza mnie do tego, twe okrutne postępowanie zniewala mnie do mówienia... Naśladuję cię, ksiązę: nie ma we mnie szlachetności.

— Mów dalej, mów dalej!... — zawołał książę, zaczynając już wierzyć wymysłom pięknej gaskonki.

— A więc słuchaj, Mości książę... Ojciec mój był dość wziętym adwokatem; przed dwudziestu ośmioma laty, był jeszcze pięknym i młodym. Nim jeszcze się ożenił, pokochał matkę barona de Canolles, której nie chciano wydać za niego; ona bowiem była szlachcianką, on zaś niskiego urodzenia. Jak się to często zdarza, miłość była zmuszona nagrodzić pomyłkę losu. Pewnego więc razu, gdy baron de Canolles udał się w podróż... Teraz już rozumiesz?

— Rozumiem; lecz dlaczego przyjaźń twa z baronem tak późno się zaczęła?

— Dlatego, że dopiero po śmierci ojca dowiedziałam się, jakie nas łączą węzły; przytem, cała ta tajemnica zawieriała się w liście, który baron oddał mi sam, nazywając mnie już siostrą.

— A gdzie ten list?

— Czyś książę zapomniał, że pożar pochłonął mi najdroższe kosztowności i wszystkie sekretne papiery.

— A prawda!... — rzekł książę.

— Już ze dwadzieścia razy zamierzałam opowiedzieć ci tę historję, będąc przekonaną, że wszystko uczynisz dla tego, którego kryjomo nazywam swym bratem; lecz baron zawsze mnie wstrzymywał, zawsze prosił, błagał, aby oszczędzać sławę jego matki, jeszcze żyjącej; byłam mu posłuszną, bom go pojmowała.

— A! czy doprawdy?... — rzekł rozczulony książę. Biedny Canolles!

— A przecież podobnem postępowaniem wyrzekał się szczęścia!... — dodała Nanona.

— Jak on ma piękną duszę — powiedział książę — to mu nawet zaszczyt przynosi.

— Ja mu przysięgam, że ta tajemnica nigdy z ust moich nie wyjdzie. Lecz twoje podejrzenia, Mości książę, zniewoliły mnie do tego wyznania. Biada mi! zapomniałam o przysiędze; biada mi! zdradziłam tajemnicę mego brata!...

I Nanona zapłakała.

Książę rzucił się przed nią na kolana, okrywając pocałunkami ręce, które z osłabienia opuściła; tymczasem jej oczy, wzniesione ku niebu, zdawały się błagać Boga o przebaczenie krzywoprzysięstwa.

— A! Nanono! mówisz. „Biada mi“!... — zawołał książę. Powiedz raczej: „Szczęście nam wszystkim!... Chcę bowiem, żeby kochany Canolles powetował czas stracony. Nie znam go, lecz chcę zaraz poznać. Przedstawisz mi go, a kochać go będę jak syna.

— Powiedz jak brata — dodała z uśmiechem Nanona. Potem zwracając swą myśl na inny przedmiot:

— A! nieznajomi donosiciele!... — zawołała gniotąc list w rękę i udając, iż go rzuca w ogień; a tymczasem starannie ukryła go w kieszeni, by potem łatwiej odszukać jego autora.

— Lecz dlaczegoż on nie przybywa?... — rzekł książę. Dlaczegoż odkładać nasze poznanie? Ja natychmiast posłę po niego do oberży pod Złotym cielęcim.

— Dobrze — powiedziała Nanona — niech się więc dowie, że nic przed tobą ukrywać nie mogę i że bez względu na moją przysięgę, wszystko ci opowiedziałam.

— A ja, bądź pewną, dochowam tajemnicy.

— Teraz, Mości książę, muszę się z tobą pokłócić — odpowiedziała Nanona z uśmiechem, jakiego szatani od aniołów pożyczają.

— A za co, kochanko moja?

— Za to, że dawniej daleko więcej byłeś chciwym, każdego sam na sam ze mną. A teraz zjedźmy kolację; jutro będzie jeszcze dość czasu posłać po niego. — Do jutra zdążę go uprzedzić — pomyślała Nanona.

— Dobrze rzekł książę — siadajmy do stołu.

Po cichu zaś dodał:

— Do jutra nie opuszczę jej chyba byłaby czarownicą, gdyby go uprzedzić zdołała.

— A więc — powiedziała Nanona, kładąc swą rękę na ramieniu księcia — czy będzie mi wolno wstawić się do mego przyjaciela za swym bratem?

— Ma się rozumieć — odrzekł książę — ze wszystkim co zechcesz, zacząwszy od pieniędzy...

— O! pieniędzy on nie potrzebuje — odpowiedziała Nanona — on to właśnie darował mi ten przepyszny brylantowy pierścień, coś go widział u mnie, a który dostał od matki.

— A więc posuńmy go na wyższy stopień — rzekł książę.

— Dobrze!... Zróbmy go na przyszłość pułkownikiem...

— Pułkownikiem! Ba!... za bardzo się śpieszysz, moja luba! chcąc tego dostąpić, baron powinien wyświadczyć jaką usługę naszemu królowi.

— On gotów jest uczynić wszystko, co mu rozkażą.

— O!... kiedy tak — rzekł książę, z pod oka spoglądając na Nanonę — mógłbym mu dać tajne polecenie do dworu.

— Polecenie do dworu! zawołała Nanona.

— Tak — odrzekł stary dworak — lecz cóż? toby was rozłączyło.

Nanona pojęła, że właśnie nadszedł czas, aby zniszczyć resztę nieufności.

— Nie obawiaj się kochany książę. Co znaczy rozłączenie, skoro mu ono wyjdzie na użytek! Jeśli będziemy razem, nie mogłabym mu wiele być użyteczną, gdyż Wasza książęca mość jesteś zazdrosnym; tymczasem, kiedy on będzie zdaleń odemnie, ty, Mości książę rozciągniesz nad nim swą wszechwładną rękę. Oddal go, wyślij z Francji, jeśli tob ędzie dla jego dobra, a o mnie się nie troszcz. Abyś mnie tylko kochał, luby mój książę, nic mi więcej do szczęścia nie będzie potrzeba.

— A więc zgoda — odparł książę — jutro rano poślę po niego i dam mu polecenie. Teraz zaś — dodał z triumfującym uśmiechem, spoglądając na dwa krzesła, na dwa nakrycia i na dwie poduszki — wieczierzajmy, moja piękna.

Oboje usiedli do stołu z tak wesołemi twarzami, że nawet Franczyneta, która już przywykła do postępowania księcia i do charakteru swej pani, sądziła, że Nanona była zupełnie spokojna, a książę zupełnie o jej niewinności przekonany.

ROZDZIAŁ VI

Rycerz którego Canolles pozdrowił nazwiskiem Richona, wszedł na pierwsze piętro oberży pod „Złotem cielęciem“ i zasiadł do kolacji z wicehrabią.

Na niego to czekał z niecierpliwością wicehrabia, kiedy przypadek uczynił go świadkiem nieprzyjaznych przygotowań księcia d'Eufron i dał mu sposobność wyświadczenia baronowi de Canolles usługi, którąśmy już wyżej opowiedzieli.

Richon wyjechał z Paryża przed tygodniem a z Bordeaux dnia dzisiejszego; przywiózł więc najświeższe wiadomości o zagmatwanych spiskach, knowanych między Paryżem a Bordeaux. W miarę jak mówił już to o uwięzieniu książąt, najważniejszym ówczesnym wypadku, to znowu o parlamencie w Bordeaux, który opanował całą prowincję, lub też wreszcie o kardynale Mazarinim, będącym wtedy istotnym królem, wicehrabia w milczeniu spoglądał na jego męskie, ogorzałe oblicze, przenikliwe, pełne śmiałości oczy, ostre i białe zęby, ukazujące się z pod wąsów, co wszystko nadawało mu postać wysłużonego oficera.

— A więc powiadasz — spytał po chwili wicehrabia — że księżna znajduje się teraz w Chantilly.

W owej epoce rozumiano pod tym tytułem dwie księżne de Condé; tylko do nazwiska księżnej, matki, dodawano jeszcze tytuł: „wdowa“.

— Tak jest, w Chantilly — odpowiedział Richon — i tam z niecierpliwością oczekuje was, wicehrabio.

— A w jakimże księżna znajduje się położeniu?

— Jest wygnaną: strzegą jej jak również matkę jej męża, z największą pilnością; wiedzą bowiem u dworu, że one nie zadawalniają się samemi prośbami do parlamen-

tu podawanemi i, że coś bardzo skutecznego knują na korzyść książąt. Na nieszczęście, jak zawsze, pieniądze... Ale!... ale!... co się tyczy pieniędzy, czyś otrzymał vicehrabio ową sumę, która tu ci się należała?... O tem szczególnie pelesono mi się dowiedzieć.

— Z trudnością zebrałem zaledwie dwadzieścia tysięcy liwrów złotem — odpowiedział vicehrabia. — Oto są.

— Mówisz, zaledwie!... A!... jakie masz wyobrażenie vicehrabio; znać że jesteś milionerem. W dzisiejszych czasach mówić z takim lekceważeniem o połconej sumie! Dwadzieścia tysięcy franków!... wprawdzie będziemy biedniejsi od kardynała Mazarini, ależ za to bogatsi od króla.

— A więc sądzisz Richonie, że księżna przyjmie ten skromny podarek?

— Nawet z wdzięcznością, bo podasz jej vicehrabio środek zapłacenia armji całej.

— Czy sądzisz, że takowa nam będzie potrzebną?

— Armja? Ma się rozumieć; już się nawet zajmujemy jej zbieraniem. Książę de Larochefoucault zaciągnął czterystu szlachty, pod pozorem użycia ich przy pogrzebaniu zwłok swego ojca. Książę de Bouillon uda się z podobnymże oddziałem, a może nawet z większym do Guyenny. Pan de Turenne obiecuje napaść na Paryż, w celu wzięcia niespodzianie zamku Vincennes i uprowadzenia stamtąd książąt; on to mieć będzie trzydzieści tysięcy ludzi, to jest całą północną, w usługach króla będącą armję, którą przeciągnął na swoją stronę. O tak!... wszystko idzie bardzo dobrze — dodał Richon — bądź spokojny, vicehrabio; nie wiem, czy osiągniemy nasz cel upragniony, lecz niezawodnie wielkiego narobimy hałasu...

— Czyś nie spotkał przypadkiem księcia d'Epernon?... — przerwał młodzieniec, którego oczy zabłysły radością, słysząc Richona wyliczającego siły, mające przynieść zwycięstwo jego stronnictwu.

— Księcia d'Epernon? — powtórzył Richon zdumiały. A gdzie miałem się z nim spotkać? Przecież przyjechałem nie z Agen, lecz z Bordeaux.

— Mogłeś go spotkać o kilka kroków stąd — odpowiedział z uśmiechem vicehrabia.

— A!... prawda, zdaje się, że piękna Nanona de Lartigues mieszka tu niedaleko.

— Na dwa wystrzały od tej oberży.

— Dobrze! To wyjaśnia mi obecność w tem miejscu barona de Canolles.

— Czy znasz go?

— Kogo? Barona?... Znam, mógłbym nawet powiedzieć, że jestem jego przyjacielem, gdyby pan de Canolles nie był dawnym szlachcicem, a ja tylko prostym oficerem.

— Tacy, jak ty, Richon, oficerowie, w terażniejszym stanie rzeczy, więcej znaczą od książąt. Wiesz zresztą, żem ocalił od kijów, a może od czego gorszego, twego przyjaciela barona de Canolles?

— Aha!... wspomniał mi coś o tem, lecz go nie bardzo uważnie słuchałem, śpiesząc się do ciebie, vicehrabio. Czyś jest pewnym, że cię nie poznał?

— Trudno poznać tych, których się nigdy nie widziało.

— Tak; ależ bo omyliłem się, powiem inaczej: czy nie zgadł czem jesteś vicehrabio?

— W rzeczy samej — odrzekł vicehrabia — nie wiem czy odgadł, lecz z uwagą mi się przypatrywał.

Richon uśmiechnął się.

— Wierzę temu; nie codzień spotyka się szlachtę podobną do was, vicehrabio.

— Baron wydaje mi się człowiekiem wesołym — ozwał się vicehrabia po chwili milczenia.

— Równie jest wesoły jak dobry, a przytem mądry i wspaniały. Gaskończycy, jak pan wiesz, nigdy nie są miernymi: są oni albo doskonali, albo też nic nie warcii. Baron pochodzi z lepszego gatunku. Czy w miłości, czy na wojnie, zawsze jest dbałym o swą powierzchowność, zawsze nieustraszonym wojownikiem; to tylko mnie gniewa, że trzyma przeciw naszej partji. Ale... ponieważ przypadek zetknął się z nim, vicehrabio, powinienes więc starać się przeciągnąć go na naszą stronę.

Przelotny rumieniec przebiegł jak meteor po białych policzkach vicehrabiego.

rzekł vicehrabia.

— Twój przyjaciel zdawał mi się bardzo lekkomyślny—

— E!... mój Boże!... — odpowiedział Richon z namysłem — który się napotyka u ludzi silnej organizacji — a my, jesteśmy poważniejsi, rozumniejsi, lub mniej lekkomyślni; my, cośmy postanowili zapalić naszymi nieroztropnemi rękami płomień wojny domowej?

Czyż koadjutor jest człowiekiem poważnym? A przecież on jednym słowem może uśmierzyć lub wzburzyć Paryż?

Czyż książę de Beaufort jest człowiekiem poważnym? A jednak tak wielki wpływ wywiera w Paryżu, że go nazwano królem gminu? Czyż mniej są lekkomyślne księżne: de Chevreuse i Longueville? A przecież pierwsza, wybiera lub oddala ministrów; a druga przez trzy miesiące panowała w paryskim ratuszu. Czyż sama księżna de Condé nie jest kobietą rozumną? A przecież jeszcze wczoraj zajmowała się sukniami, klejnotami i brylantami!... Czyż wreszcie książę d'Enghien jest poważnym naczelnikiem stronnictwa, kiedy z kobietami gra w poliszynela? A być jednak może, że on pierwszy uzbroiłby się, by zburzyć Francję?

Nakoniec, ja sam, ja Richon, jeśli pozwolisz vicehrabio, abym swe nazwisko wymienił po tylu znakomitych imionach, jestem-że osobą poważną; ja, syn młynarza z Angoulême; ja dawny sługa księcia Larochefoucault, który pewnego razu zamiast szcztoki, podał mi szpadę, a ja, przypasawszy ją odważnie, stałem się żołnierzem. O oto jednak syn młynarza z Angoulême, dawny pokojowiec księcia Larochefoucault, został kapitanem, teraz znowu zbiera oddział łączy czterystu lub pięciuset ludzi i będzie zkolei igrał ich życiem, jak gdyby Bóg dał mu na to prawo. Otóż stąpa po drodze, wiodącej do zaszczytów: wkrótce zostanie pułkownikiem, komendantem fortecy... A kto wie?... Być może, przyjdzie czas, że rządzić będzie choćby przez dziesięć minut, godzinę lub cały dzień, losem Francji? Widzisz więc, vicehrabio, że wszystko to bardzo podobnem jest do snu, jednakże, dopóty ów sen uważać będę za rzeczywistość, dopóki nie zbudzi mnie z niego jaka wielka katastrofa...

— O!... — dodał vicehrabia — biada wtedy tym co się zbudzą Richonie, gdyż zbudzą cię już bohaterem...

— Bohaterem lub zdrajcą, a to według tego, czy będziemy słabszymi lub też silniejszymi. Za Richelieu, dobrzebym to rozważył, gdyż szłoby mi o głowę.

— Czy być może, Richonie, aby ciebie wstrzymać mogły podobne powody?... ciebie, którego nazywają najmężniejszym z całej francuskiej armji...

— O!... bez wątpienia — odrzekł Richon, znacząco

wzruszywszy ramionami. — Byłem odważnym, gdy król Ludwik XIII-ty, blady, z błyszczącymi jak karbunkuł oczyma, błękitną przepasaną wstęgą, wołał dźwięcznym głosem, przygryzając wąsów: „Król na was patrzy: naprzód, panowie“. Lecz gdy trzeba będzie wynaleźć na piersiach syna też samą błękitną wstęgę, którą widziałem na piersiach ojca i wołać do mych żołnierzy: „Ognia do króla Francji“. O! — mówił dalej Richon, potrząsając głową — boję się, wicehrabio, żebym wtedy nie stchórzył i nie strzelił w bok...

— Co się tobie dziś stało?... Dla czego przypuszczasz tylko to, co może być najgorszego? Kochany Richonie wojna domowa strasznie jest nieszczęściem, lecz zdarzają się chwile, w których i ona jest konieczną.

— Tak, jak zaraza, jak żółta febra, jak czarna febra, jak febry wszystkich kolorów. Naprzykład, panie wicehrabio, jak sądzisz: czyby nie było koniecznem zabić jutro barona de Canolles, którego dzisiaj tak po przyjęcielsku i z takim ukontentowaniem ścisnąłem za rękę... a dlaczego? Dlatego, że ja służę księżnej de Condé, która żartuje ze mnie, on zaś kardynałowi Mazarini, którego sam wziął za cel swych żartów. A jednakże tak być musi.

Vicehrabia drgnął z przestachu.

— Z tem wszystkiem — mówił dalej Richon — być może, że się mylę, że nie ja, lecz on mi pierś przeszyje. A! ty nie pojmujesz, wicehrabio, co to wojna; pan widzisz tylko morze intryg i rzucasz się w nie, jak w swój naturalny żywioł. W tych dniach mówiłem o tem z księżną i ona się ze mną zgodziła, że w tej wysokiej sferze, gdzie pan żyjesz, armatnie wystrzały, które nas zabijają, panu zdają się tylko być fajerwerkami.

— Doprawdy — rzekł wicehrabia — przestraszasz mnie Richonie i gdybym nie był pewnym, że masz przyjąć nademną opiekę, nie śmiałybym puścić się w drogę; lecz przy tobie — dodał młodzieniec, podając partyzantowi swą małą rączkę — niczego się nie lękam.

— Aha!... Dobrze żeś mi też przypomniał wicehrabio — przerwał Richon — nic już z naszych zamiarów, nie pojedziemy razem.

— Jakto! Richonie, nie pojedziesz ze mną do Chantilly?

— Do Chantilly musiałbym powrócić w takim razie.

gdybym tu nie był potrzebny: ale, jak ci vicehrabio powiedziałem, moje znaczenie tak dalece wzrosło, że księżna zupełnie zabroniła mi wyjechać się z forticy, którą, zdaje się, chcą nam odebrać.

Wicehrabia wydał okrzyk trwogi.

— Jakto! ja mam jechać bez ciebie? jechać z jednym Pompée, który sto razy jest większym odemnie tchórzem? Przejechać pół Francji prawie samemu! O! nie! nie pojedę, przysięgam ci: umarłbym ze strachu, zanim dojechałbym do celu.

— O, wicehrabio... — zawołał Richon z głośnym śmiechem — zapomniałeś, widzę o szpadzie, wiszącej ci u boku?

— Śmieję się ile ci się podoba, ale nie pojedę. Księżna przyrzekła, że będziesz mi towarzyszył, a jedynie pod tym warunkiem na podróż przystałem.

— Rób co chcesz, wicehrabio — odrzekł Richon z udaną powagą — wszelako zupełnie liczą na ciebie w Chantilly; radzę ci więc nie chwiać się, bo księżęta nie wiele mają cierpliwości, szczególnie, kiedy czekają na pieniądze.

— Jeszcze na domiar nieszczęścia — powiedział wicehrabia — muszę wyjechać w nocy.

— Tem lepiej — odrzekł Richon, śmiejąc się — nikt nie spostrzeże twej obawy; spotkasz nawet, wicehrabio, większych jeszcze od siebie tchórzów i zmusisz ich do ucieczki.

— Czy tak sądzisz?... — spytał wicehrabia, wcale niezaspokojony tą obietnicą.

— Zresztą jest środek na zaradzenie wszystkiemu — odrzekł Richon. Nieprawdaż, że się boisz o pieniądze? A więc zostaw u mnie, a ja odeślę je przez trzech lub czterech pewnych ludzi. Jednak, najlepiej będzie, jeżeli je sam odwieziesz, wicehrabio.

— Masz słusność, pojedę Richonie, a ponieważ trzeba być zupełnie odważnym, sam odwieżę pieniądze. Z tego, coś mi powiedział, wnoszę, że Jej księżęca mość więcej teraz potrzebuje złota, niż mnie samego; być więc może, że źleby mię przyjęto bez pieniędzy?

— Przecież powiedziałem ci, wicehrabio, że wyglądasz na bohatera: przytem, wszędzie na drogach spotkać można królewskich żołnierzy, a wojna jeszcze się nie zaczęła.

Jednakowoż nie ufaj im bardzo i rozkaż Pompéemu nabić pistolety.

— Na cóż mówisz mi to wszystko?... Czy sądzisz, że mnie tem uspokoisz?

— Bezwątpienia, kto zna niebezpieczeństwo, nie da się podejść. A więc jedź, vicehrabio — rzekł Richon, powstając — noc będzie widna, przed świtem możesz stanąć w Monlieu.

— A baron nie czeka czasem na mój odjazd?

— On w tej chwili wieczerza: a jeśli kolacja jego choć trochę podobna do naszej, to on, jako prawdziwy smakosz, nie wstanie od stołu bez szczególnie ważnej przyczyny. A jeżeli chcesz, zejść i zatrzymam go.

— A więc przepros go za moją względem niego niegrzeczność. Nie chcę, żeby kłócił się ze mną, spotkawszy mnie kiedy w złym humorze. Zresztą, twój baron musi to być dobry człowiek.

— Gotów jest nawet pójść za tobą, vicehrabio, na koniec świata, aby mieć przyjemność skrzyżować szpadę. Lecz bądź pan spokojny, przeproszę go za pana.

— Dobrze, tylko poczekaj, niech wprzód wyjadę.

— To się rozumie.

— Ale! czy nie masz do księżnej jakiego zlecenia?

— Mam właśnie, przypomniałeś mi rzecz najważniejszą.

— Czyś już do niej napisał.

— Nie, dość jej przesłał dwa tylko wyrazy.

— Jakie?

— „Bordeaux. — Tak“.

— I ona to zrozumie?

— Jak najzupełniej! Na zasadzie tych dwóch wyrazów, może spookjnie udać się wdrogę, powiedz jej pan, że ja za wszystko odpowiadam.

— No! Pompée — rzekł vicehrabia do starego słuźalca, który wtej chwili pokazał głowę przez drzwi uchylone — no mój przyjacielu, trzeba jechać.

— Oho. jechać.... — odpowiedział Pompée. To być nie może, panie vicehrabio? Straszna będzie burza!

— Co mówisz, Pompée?... — rzekł Richon. Na niebie niema ani jednej chmurki.

— Ależ w nocy można zabłądzić.

— Ręczę wam, że nie zabłądzicie, trzymając się ciągle drogi głównej. Przytem, księżyc świeci wspaniale!

— Księżyc świeci! księżyc świeci!... — pomruknął Pompée. Pan dobrze rozumiesz, panie Richon, że tu nie idzie o mnie samego.

— Bezwątpienia — odrzekł Richon — przecież z ciebie stary żołnierz!

— Kto się bił z Hiszpanami i był raniony w bitwie pod Corbey... — mówił dalej Pompée.

— Ten się niczego nie boi, nieprawdaż?... — dodał Richon. Bardzo to jest dobrze, lecz uprzedzam cię, że wicehrabia nie bardzo jest spokojny.

— Oho!... — wyjąkał Pompée, błędąc — czy się boisz, panie wicehrabio?

— O! z tobą bać się nie będę, mój odważny Pompée — odrzekł zapytany. Znam cię i wiem, że dałbyś się zabić w mojej obronie.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Pompée — lecz jeśli się pan bardzo boisz, to lepiej będzie poczekać do jutra.

— Niepodobna, mój dobry Pompée. Weź to złoto i umieść na swym koniu; ja zaraz zejść do ciebie.

— Tyle pieniędzy nie należałoby wystawiać na niebezpieczeństwo nocnej podróży — rzekł Pompée, wążąc w rękę worek.

— Żadnego nie ma niebezpieczeństwa; przy najmniej tak zapewnia Richon. No! czy wszystko gotowe, pistolety, szpada, muszkiet?

— Zapominasz, panie wicehrabio — odpowiedział stary sługa, prostując się — że człowiek, będąc całe swe życie żołnierzem, jest ostrożnym i nie błądzi. Tak, panie wicehrabio, każda rzecz jest na swoim miejscu.

— Widzisz, wicehrabio — rzekł Richon — czy można się bać, mając takiego towarzysza?

— No! Szczęśliwej podróży!

— Dziękuję za życzenie; lecz droga daleka — odpowiedział wicehrabia z trwogą, której nie mogła rozproszyć wojenna postawa Pompéeego.

— Ba!... — rzekł Richon — każda droga ma swój początek i koniec. Oświadczy pan moje najniższe uszanowanie księżnej pani i powiedz, że gotów jestem służyć jej i księciu de Larochefoucault do ostatniej kropli krwi,

a nadewszystko, nie zapomnij pan tych dwóch wyrazów: „Bordeaux. Tak“. A teraz idę do barona.

— Zaczekaj, Richonie — powiedział vicehrabia, zatrzymując mu rękę w chwili, kiedy ten już zaczął zstępować ze schodów. Jeśli Canolles jest w istocie tak męznym oficerem i poczciwym człowiekiem, jak mówiłeś, dlaczego byś nie miał spróbować przeciągnąć go na naszą stronę. Mógłby dogonić mnie w drodze, lub też połączyć się z nami w Chantilly, a znając go już cokolwiek, przedstawiłbym księżnej.

Richon spojrział na wice hrabiego z tak dziwnym uśmiechem, że młodzieniec niewątpliwie z twarzy jego wyczytał wszystko, co się działo w duszy partyzanta; śpiesznie więc dodał:

— Zresztą, Richonie, nie zwracaj na me słowa uwagi i czyn, co sądzisz żeś powinien czynić. Do widzenia!

I wyciągnąwszy do niego rękę, szybko wszedł do swego pokoju, czy to z obawy, by Richon nie dostrzegł nagłego rumieńca, co oblał twarz jego, czy też, by go nie usłyszał Canolles, którego hałaśliwe krzyki dochodziły aż do pierwszego piętra.

Richon zeszedł ze schodów, za nim postępował Pompée, niosąc worek z pozorną niedbałością, by nie dać poznać, że w nim są pieniądze.

Po upływie kilku minut, wicehrabia przekonawszy się, że nic nie zapomniał, zagasił świece, ostrożnie zeszedł ze schodów, zajrzał przez szparę we drzwiach dolnego piętra, potem owinąwszy się szerokim płaszczem, który mu podał Pompée, postawił małą stopę na rękę masztalerza, lekko wskoczył na konia, złajał z uśmiechem starego żołnierza za jego powolność i zniknął w ciemności.

W chwili, kiedy Richon wszedł do pokoju barona, w celu zatrudnienia go podczas odjazdu wicehrabiego, okrzyk radości wydany przez tegoż, dowiódł mu, że Canolles nie jest zawziętym.

Na stole, między dwoma próżnemi już butelkami, wznosiła się spora flaszka, trzcina oplecioną.

Flaszka ta mieściła w sobie wyborne stare koljurskie, wino, nieocenione dla tych, którzy już wiele win kosztowali.

Leżące w około niej suche figi, migdały, biszkopty, sery i smażone winogrona, wskazywały, że oberżysta nie

omylił się w swej rachubie, a pewność ta, potwierdziła się dwoma, zupełnie próżnemi butelkami i trzecią do połowy tylko pełną.

W rzeczy samej, gdyby nawet najwstrzemięźliwszy dotknął się tego deseru, musiałby już dużo pić wina.

A Canolles wcale nie myślał o wstrzemięźliwości, przytem, jako hugonota (pochodził bowiem z protestanckiej familji i wyznawał religję przedków), być może, nie wierzył w kanonizowanie tych pobożnych samotników, co to osiągnęli królestwo niebieskie, pijąc wodę i jedząc korzonki.

Czy wsmutku, czy zakochany, Canolles nie był nigdy nieczułym na zapach dobrego obiadu, na widok tych butelek szczególnego kształtu z czerwonemi, złotemi lub zielonemi pieczętkami, których wierne korki trzymają w uwięzi prawdziwe gaskońskie, szampańskie lub burgundzkie wino.

Wobecnym wypadku, Canolles podług zwyczaju ustąpił pokusie, naprzód spojrział, potem powąchał, nakoniec spróbował, a ponieważ z pięciu zmysłów, któremi go obdarzyła matka natura, trzy z nich zupełnie zadowolone, dwa więc pozostałe uzbroidy się wcierpliwosć, czekając swej kolei z zadziwiającą spokojnością.

W tej chwili wszedł Richon i ujrzał barona kołyszącego się w krześle.

— A! kochany Richonie, przybywasz w samą porę — zawołał Canolles — właśnie szukałem kogoś takiego, przed kim mógłbym pochwalić naszego oberżystę Biscarros; chciałem już ograniczyć się na pochwaleniu go przed tym łajdakiem Castorin, który nie wie co to znaczy pić, którego nawet nigdy nie mogłem jeść nauczyć. No, spójrz tu, kochany przyjacielu, rzuć okiem na ten stół i zechciej przy nim zasiąść. Właściciel oberży pod „Złotem cielęciem“ jest prawdziwym artystą; muszę go zachwalić memu przyjacielowi księciu d'Epemon. Posłuchaj Richonie, taką była moja kolacja: zupa rakowa, chłodnik z marynowanych ostryg i serdeli; różnego gatunku ptactwo; kapłon z oliwkami, a przy nim butelka Medoku, której szkielec, oto tu stoi; kuropatwa z truflami, groszek cukrowy, galareta z dzikich wisien, skropiona butelką szambertyna, tu oto stojąca; nakoniec ten deser i butelka koljurskiego, jeszcze nie zdobyta, lecz pójdzie ona jak inne, nadewszyst-

ko jeśli obaj uderzymy na nią. Kroćset djabłów! Jestem w doskonałym humorze, a Biscarros jest mistrzem. Richon, siadaj tu, jużes wieszerał, lecz co to szkodzi!... Ja także już jadłem... możemy wszakże zacząć no nowo...

— Dziękuję, baronie — rzekł, śmiejąc się Richon — nie chce mi się jeść.

— Zgadzam się na to, można nie mieć apetytu, lecz pragnienie, każdy zawsze mieć powinien. Spróbuj no tego wina!

Richon podstawił szklanę.

— A więc jużes wieszerał — mówił dalej Canolles — wieszerałes z tym małym hulajem wicehrabią. A!... wybacz Richonie, myślę się, owszem, przeciwnie, jest to zachwycający chłopiec!... jemu winienem przyjemność kosztowania życia i gdyby nie on, byłbym wyzionął ducha trzema lub czterema ranami, któremi chciał mnie obdarzyć waleczny książę d'Epéron. Jestem więc wdzięczny pięknemu wicehrabiemu, zachwycającemu Ganymedowi. A!... Richonie! właśnie wydajesz mi się być tym, za co cię wszyscy uważają, to jest prawdziwym sługą księcia de Condé!

— Cóż to znowu, baronie!... — zawołał Richon, wybuchając głośnym śmiechem — skąd ci to przyszło do głowy! A! umrę ze śmiechu!

— Lecz z tem wszystkim, nienawilzę twego małego wicehrabiego... Zajmować się pierwszym przejeżdżającym szlachcicem!... Do czego to podobne?

I Canolles, rozciągnąwszy się w krześle, zaczął się śmiać i pokręcać wąsy z taką wesołością, że i Richon poszedł za jego przykładem.

— A więc, kochany Richonie — rzekł Canolles — mówiąc na serjo, knujesz jakiś spisec, nieprawdaż?

Richon nie przestawał się śmiać, lecz już nie tak serdecznie.

— Czy wiesz, że wielką miałem chęć przyaresztować ciebie, jak również twego małego wicehrabiego? Kroćset djabłów! byłoby to bardzo śmieszne, a przytem dość łatwe do wykonania, gdyż mogli mi w tem pomóc giermkowie mego przyjaciela księcia d'Epéron. Ha! ha! ha! Richon pod strażą, wraz z małym wicehrabią! Dopiero to byłoby śmiać się z czego!

W tej chwili słychać było tętent oddalających się koni.

— Czy nie wiesz, Richonie, co to takiego?... — spytał Canolles, nadstawiając ucha.

— Nie wiem, lecz domyślałam się.

— A więc, powiedz.

— Wicehrabia odjechał.

— Nie pożegnawszy się ze mną!... — zawołał Canolles. Ani wątpić, to jakiś brutal.

— O nie, kochany baronie potrzeba śpiesznego wyjazdu tłumaczy go.

Canolles zmarszczył brwi i rzekł:

— Cóż za dziwne postępowanie! Gdzież wychowano tego chłopca? Richonie, mój przyjacielu, zapewniam cię, że znajomość z nim szkodzi ci. Nie można między szlachtą prowadzić się tym sposobem. O! gdybym go mógł dogonić, dopierobym mu natarł uszów, niech djabli porwą jego głupiego ojca, który niezawodnie przez skąpstwo nie dał mu nauczyciela!

— Nie gniewaj się, baronie — odpowiedział Richon z uśmiechem — wicehrabia nie jest tak źle wychowany jak sądzisz; wyjeżdżając, polecił mi oświadczyć ci swoje uszanowanie i żal, że sam pożegnać cię nie mógł.

— Dobrze! dobrze!... rzekł Canolles — tym sposobem zmienia tylko niewybaczoną, obrazę na małą grzeczność. Niech djabli porwą! Strasznie jestem rozgniewany. Pokłóć się ze mną Richonie! Co, nie chcesz? Poczekaj... Richonie, przyjacielu mój, jesteś bardzo brzydki!

Richon, nie przestając śmiać się, rzekł:

— W takim humorze jak jesteś, baronie, jeżeli zechcesz grać, możesz wygrać odemnie dziś w wieczór sto pistoli. Szczęście w grze jak ci wiadomo, najczęściej sprzyja w zmartwieniu.

Richon znał barona; wiedział, że odwraca gniew jego proponując grę.

— Grać!... — zawołał Canolles — masz słuszność, będziemy graли! Przyjacielu mój, ten jeden wyraz jedna mię z tobą. Richonie, jesteś zachwycającym! Richonie, jesteś pięknym jak Adonis, przebaczam już wicehrabiemu de Cambes... Castorin! podaj karty!

Natychmiast przybiegł Castorin z oberżystą, obaj wystawili stół, a dwaj przyjaciele grać zaczęli.

Castorin, od dziesięciu lat marzący o podwójnej stawce na trzydzieści i czterdzieści i Biscarros, nie spuszczaający

chciwego wzroku z pieniędzy, stali po obydwóch stronach stołu, przypatrując się grającym.

W niespełna godzinę, Richon, pomimo swej przepowiedni wygrał od barona osiemdziesiąt pistoli.

Canolles, nie mając przy sobie więcej pieniędzy, kazał Castorinowi podać tłomoczek, by wyjąć więcej.

— Nie potrzeba — rzekł Richon, słysząc ten rozkaz — nie mam czasu grać dłużej.

— Jak to! nie masz czasu?... — spytał Canolles.

— A tak. Teraz jest godzina jedenasta — odpowiedział Richon — a o dwunastej koniecznie muszę być na swoim stanowisku.

— Oho!... Bez wątpienia chcesz żartować? — spytał Canolles.

— Zwolna, panie baronie — odrzekł Richon — wszak sam jesteś wojskowym, znać więc musisz karność żołnierską.

— Dlaczegoż, kiedy ci było tak pilno, nie odjechałeś przed grą? — rzekł Canolles, na wpół śmiesznym, na wpół ironicznym tonem.

— Czy nie robisz mi przypadkiem wyrzutów, za to żem cię odwiedził?... — spytał Richon.

— Uchowaj Boże! Jednakże wcale mi się spać nie chce, będę się więc strasznie nudził. A gdybym też zechciał cię odprowadzić Richonie.

— Nie przyjąłbym tego zaszczytu baronie. Polecenie, które mi dano, musi być odbyte bez świadków.

— Niech i tak będzie! Lecz w którą udajesz się stronę?

— Właśnie chciałem cię prosić byś mi nie zadawał tego pytania.

— A wicehrabia gdzie pojechał?

— Mam ci prawdę powiedzieć; nie wiem.

Canolles spojrział na Richona, chcąc się przekonać, czy w tych niegrzecznych odpowiedziach nie było czasem żartów.

Lecz łagodne spojrzenie i szczery uśmiech komendanta twierdzy Vayres, rozbroiły jeżeli nie cierpliwość, to przynajmniej ciekawość barona.

— Doprawdy — rzekł Canolles — kochany Richonie, jesteś dziś prawdziwą zagadką, lecz każdy działa podług swej woli, oto lepiej dajmy temu pokój, a wypijmy je-

szcze po jednej szklance tego wina i... szczęśliwej podróży.

Przy tych słowach, Canolles nalał szklanki; Richon stuknąwszy się, wypił za zdrowie barona i wyszedł, baronowi nie przyszło nawet na myśl przekonać się, którą on udał się drogą.

Baron, pozostawszy sam w pośród na wpół spalonych świec, próżnych butelek i kart rozrzuconych, uczuł smutek, dający się pojąć temu tylko, kto go sam doświadczył cała jego wesołość tego wieczoru, zasadzała się na zawiedzionej nadziei, po stracie której, napróżno chciał się pocieszyć.

Powłókł się do sypialni, rzucając przez okno korytarza spojrzenie pełne żalu i gniewu na samotny domek, w którym oświecono okno i migające cienie, dostatecznie przekonywały barona, że Nanona de Lartigues przepędza wieczór nie tak, jak on samotnie.

Na pierwszym stopniu schodów, Canolles nadeptał na jakiś przedmiot.

Schylił się i podniósł szarą rękawiczkę wicehrabiego, którą tenże w pośpiechu upuścił, a uznawszy za rzecz małej wartości, nie myślał tracić czasu na jej odszukanie.

Chociaż przykre były myśli barona, łatwo dające się wybaczyć w chwili mizantropji, wzbudzonej miłosnem niepowodzeniem, jednak położenie Nanony było jeszcze przykrejszem.

— Nanona, niepokojąc się przez noc całą i obmyślając tysiące planów, jakby uprzedzić barona, użyła całej przebiegłości mądrej kobiety.

Chcąc się wydobyć z tak nieznośnego położenia, trzeba było ukraść księciu minutę czasu, na pomówienie z Franczynetą, a dwie najwięcej, na napisanie do barona jednego wiersza na kawałku papieru.

Lecz zdawało się, że książę odgadł myśl i wyczytał niespokojność umysłu Nanony, pomimo radosnej maski, jaką swą twarz pokryć się starała, gdyż nie dał jej ani jednej wolnej chwili, która wszakże tak przez nią upragnioną była.

Nanona dostała migreny, książę d'Épernon nie pozwolił

jej wstać i iść po flakonik z otrzeźwiającemi solami: sam ją wyręczył.

Nanona ukuła się szpilką w palec, chciała więc wyjąć ze swej toaletki kawałek różanego plasterka, zaczynającego już wchodzić w owym czasie w modę.

Księżę d'Epéron, niezmordowany w uprzedzaniu jej życzeń, wstał, odciął kawałek ze zręcznością, do rozpaczy przywodzącą Nanonę, i zamknął toaletkę.

Natenczas Nanona udała, że śpi snem głębokim.

Księżę prawie też zaraz zaczął chrapać.

Wtedy Nanona otworzyła oczy i przy świetle nocnej lampki, stojącej na stoliku w alabastrowej wazce, chciała wyjąć pugilares księcia z jego kamizelki, leżącej tuż przy łóżku, prawie pod jej ręką, lecz zw chwili, kiedy już brała za ołówek i oddzierała ćwiartkę papieru, księżę otworzył oczy.

— Co robisz?... — spytał.

— Szukałam w tym pugilaresie kalendarza — powiedziała Nanona.

— A na co?

— Chciałam wiedzieć, kiedy przypada dzień twoich imienin.

— Imię moje Ludwik i jak wiesz, dzień moich imienin przypada 24-go sierpnia, masz więc jeszcze dość czasu przygotować się, moja kochanko!

I wzięwszy z jej rąk pugilares, włożył go napowrót do kamizelki.

Tym razem Nanona zyskała przynajmniej ołówek i papier.

Wsunęła te przedmioty pod poduszkę, niby niechcący przewróciła nocną lampkę, spodziewając się, że po ciemku łatwiej napisać będzie mogła liścik, lecz księżę natychmiast zadzwonił na pokojówkę, zawołał o światło, zapewniając, że nie może spać w ciemności.

Franczyneta przybiegła nim Nanona zdążyła napisać połowę zdania.

Księżę, obawiając się, aby podobny wypadek nie miał drugiego raz miejsca, kazał Franczyniecie zapalić dwie świece i postawić je na kominku.

Wtedy znowu Nanona oświadczyła, że spać nie może, gdy ją światło w oczy razi i w gorączkowej niecierpliwości

odwróciła się do ściany, oczekując dnia i bojaźnią, łatwą do pojęcia.

Dzień, oczekiwany z taką bojaźnią, zabłysł nareszcie.

Księżę d'Épernon, chełpiący się z tego, że naśladowuje zwyczaje żołnierskiego życia, wstał za pierwszym promieniem słońca, ubrał się sam, aby ani na chwilę nie rozłączyć się ze swoją kochaną Nanoną, następnie włożył szlafrok i zadzwonił, chcąc się dowiedzieć, czy nie przysłano mu jakich papierów.

Franczyneta w miejsce odpowiedzi przyniosła depesze, które w nocy przywiózł Courtauvaux, ulubiony strzelec księcia.

Księżę rozpieczętował je i czytał jednym okiem, drugim zaś, starając się nadać mu jak można najwięcej czułości, bacznie spoglądał na Nanonę.

Nanona gdyby mogła, chętnieby rozszarpała księcia.

— Czy wiesz — rzekł do niej księżę, przeczytawszy kilka depez — co byś powinna teraz uczynić?

— Nie wiem, Mości księżę — odpowiedziała Nanona — lecz co tylko rozkażesz, wszystko zostanie spełnione podług twej woli.

— Poślij po swego brata — rzekł księżę — właśnie odebrałem z Bordeaux list, zawierający ważne wiadomości, mógłby on natychmiast udać się z depezą do Paryża, a po powrocie miałbym pozór do nadania mu stopnia, o jakiś mię dla niego prosiła.

Oblicze księcia wyrażało nieudaną dobroć.

— A więc, odwagi!... — rzekła do siebie Nanona. Być może, że Canolles z moich oczów wyczyta i zrozumie wszystko.

Potem głośno dodała.

— Sam poślij po niego, kochany księżę.

Wiedziała bowiem, że gdyby ona chciała wykonać polecenie, księżę nie pozwoliłby na to.

D'Épernon przywołał Franczynetę i posłał ją do oberży pod „Złotem cielęcim“, to tylko do niej powiedziawszy:

— Powiedz baronowi de Canolles, że panna de Lartigues czeka go ze śniadaniem.

Nanona bacznie rzuciła spojrzenie na Franczynetę, lecz chociaż spojrzenie to była nad wyraz wymowne, Franczyneta przecież nie mogła z niego wyczytać tej myśli: Powiedz baronowi de Canolles, że jestem jego siostrą.

Franczyneta wysła, pojmując, że jej pani grozi jakieś ukryte niebezpieczeństwo.

Tymczasem Nanona wstała, a odziawszy się rannym płaszczykiem, stanęła za krzesłem księcia tak, iż pierwszym spojrzeniem mogła wskazać baronowi, że czegoś się strzec powinien, następnie zajęła się obmyśleniem przebiegłego zdania, któremby od razu mogła objaśnić barona w tem wszystkim, co mu wiedzieć należało.

Tym sposobem Nanona mogłaby zapobiec zepsuciu harmonji, między nią i księciem panującej.

Wzrokiem swym mogła ona ogarnąć całą drogę, aż do miejsca, gdzie wczoraj ukrył się książę d'Épernon ze swymi zbirami.

— A! — rzekł nagle książę — otóż i Franczyneta wraca.

I skierował oczy na Nanonę, która wtedy zmuszoną była odwrócić wzrok od okna, aby odpowiedzieć na pytające spojrzenie księcia.

Serce Nanony mocniej bić zaczęło, widziała tylko Franczynetę, a pragnęła widzieć barona, aby wyczytać na jego twarzy chociaż cokolwiek spokojności.

Na schodach rozległ się odgłos kroków.

Franczyneta lekko zastukała do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł książę.

Nanona przygotowała już sławne zdanie, którem chciała przywitać barona.

Franczyneta weszła sama.

Nanona rzuciła wejrzenie do przedpokoju.

W przedpokoju nie było nikogo.

— Pani! — powiedziała Franczyneta z niewzruszoną pewnością scenicznej subretki — nie zastałam barona de Canolles w oberży pod „Złotem cielęcim“.

Książę zmarszczył brwi.

Nanona podniosła głowę i odetchnęła.

— Jako — rzekł książę — barona de Canolles niema już w oberży pod „Złotem cielęcim?“

— Mylisz się zapewne, Franczyneto — dodała Nanona

— Pani — odpowiedziała Franczyneta — powtarzam to, co mi powiedział sam Biscarros.

— Kochany Canolles domyślił się bezwątpienia wszystkiego — szepnęła Nanona. — Łączy on zręczność i dowcip z odwagą i pięknnością.

— Zawołać mi natychmiast samego Biscarroza — rzekł książę ze złością.

— O! sądzą — spieszenie wtrąciła Nanona, — że Canolles dowiedział się, iż tu będziesz, i nie chciał ci przeszkadzać. Biedny baron, jest tak bojaźliwym!

— On, bojaźliwym!... — zawołał książę — zdaje mi się jednak, że nie taką ma o sobie opinię...

— Nie, pani — rzekła służąca — pan baron w istocie odjechał.

— Lecz — zapytał d'Epéron — jak to być może, aby baron mnie się obawiał, kiedy Franczyneta otrzymała polecenie zaproszenia go od ciebie nic o mnie nie wspominając. Musiałaś mówić mu, że ja tu jestem?... No, odpowiadaj, Franczyneto.

— Nic nie mogłam mu powiedzieć, Mości książę, gdyż go nie widziałam.

Pomimo odpowiedzi Franczynety, wyrzeczonej ze szczerością i prawdą, książę zdawał się odzyskiwać nieufność.

Nanona z radości nic mówić nie mogła.

— Czy mam iść po oberżystę? — zapytała Franczyneta.

— Natychmiast — odrzekł książę grubym głosem — albo lepiej zaczekaj. Pozostań tu, możesz być potrzebną swej pani, tam zaś poszlę Courtauvaux.

Franczyneta wyszła. W pięć minut potem, Courtauvaux zapukał do drzwi.

— Idź do właściciela oberży pod „Złotem cielęcim“ — rzekł książę — i przyprowadź go tutaj, muszę bowiem z nim pomówić. Powiedz mu, żeby przyniósł kartę potraw, przygotowanych na śniadanie. Daj mu dziesięć luidorów, a nich tylko śniadanie będzie dobre. No, idź i spiesz się...

Courtauvaux, służąc zawsze w znacznych domach, znał doskonale swe rzemiosło. Przyszedłszy do Biscarroza, rzekł mu:

— Namówiłem mego pana, aby obstałował u ciebie śniadanie, pan dał mi osiem luidorów, naturalnie, zostawię sobie dwa za poselstwo, a resztujące sześć oddaję tobie. No, chodź ze mną zaraz.

Biscarroz, drżał z radości, przypasał czysty fartuch, włożył do kieszeni sześć luidorów i ścisnąwszy Courtauvaux za rękę, udał się z nim do samotnego domku.

ROZDZIAŁ VII

Nanona już się teraz nie obawiała, śmiałość Franczynety dodała jej odwagi, wielką nawet miała chęć porozmawiać z oberżystą.

W tej chwili wszedł on właśnie do pokoju, zakasawszy fartuch za pas i trzymając czapkę w ręku.

— Wczoraj zatrzymał się u ciebie młody szlachcic, baron de Canolles, nieprawdaż? — spytała Nanona.

— Gdzie on jest? — dodał książę.

Biscarros zaczął być niespokojnym, gdyż sześć ludiorów dane mu przez strzelca, kazały się domyślać, że ma do czynienia ze znakomitą osobą. Z początku więc odpowiadał z pomieszaniem.

— Odjechał, panie.

— Odjechał — powtórzył książę — czy istotnie odjechał?...

— Istotnie.

— A gdzież? — zapytała Nanona.

— Tego powiedzieć nie mogę, gdyż doprawdy sam nie wiem.

— Lecz może wiesz przynajmniej którą drogą pojechał?

— Paryską.

— O której wyjechał godzinie?... — zapytał książę.

— Około północy.

— I nic ci nie powiedział?... — bojaźliwie zapytała Nanona.

— Nic, tylko zostawił list, który kazał oddać panie Franczynecie.

— A dlaczegożes łotrze nie oddał listu?... — rzekł książę. — Czy to tak szanujesz rozkazy szlachcica.

— Już go oddałem panie...

— Franczyneto! — zawołał książę.

Franczyneta, podsłuchująca u drzwi, natychmiast wbiegła do sypialni.

— Dlaczego nie oddałaś swej pani listu, który baron de Canolles do niej zostawił?...

— Sądziłam, Mości książę... — mówiła przestraszona pokojówka.

— Oho... — pomyślał zatrwożony Biscarros, tuląc się do najbardziej oddalonego kąta sypialni. To bezwątpienia jakiś przebrany książę.

— Nie pytałam się jej o list — rzekła Nanona błędąc.

— Daj go — zawołał książę, wyciągając rękę.

Biedna Franczyneta z wolna podała list, zwracając na swą panią spojrzenie, które miało znaczyć:

— Widzisz pani, że to nie moja wina, to ten niedołęga Biscarros narobił tego wszystkiego.

Błyskawice trysnęły z oczów Nanony i przesyły na wskroś biednego Biscarrosa.

Pot kroplami spływał z nieszczęśliwego, oddałby był całe sześć ludiorów, które miał w kieszeni, aby tylko mógł stać przed swym piecem i trzymać rondel w rękę.

Tymczasem książę wziął list, otworzył go i przeczytał.

Podczas czytania, Nanona stała biała i bez ruchu, jak posąg marmurowy, czuła tylko mocne i gwałtowne bicie serca.

— Co znaczy ta bazgranina?... — zapytał książę.

Z tych kilku wyrazów Nanona zrozumiała, że list nie może jej szkodzić.

— Przeczytaj na głos, a być może, że ci wytłumaczę — odpowiedziała.

Książę przeczytał:

„Kochana Nanono“.

Po tych słowach spojrzał na nią.

Nanona wytrzymała spojrzenie to z zadziwiającem mężstwem.

Książę czytał dalej:

„Kochana Nanono“.

„Korzystając z urlopu, który tobie winien jestem, jadę dla rozerwania się do Paryża. Do widzenia. Nie zapominaj o mem szczęściu“.

— Ależ on zwarzjował ten Canolles.

— A to dlaczego? — zapytała Nanona.

— Czyż można wyjeżdżać tak jak on, o północy bez żadnej przyczyny? — rzekł książę.

— Tak, to prawda — pomyślała Nanona.

— No, wytłómaczcie mi jego odjazd?

— A! mój Boże!... — odpowiedziała Nanona z czarującym uśmiechem — nic łatwiejszego nad to, Mości książę.

— I ona go także nazywa księciem! — szepnął Biscarros. — Nie ma więc wątpliwości, to jakiś książę.

— No mówże! — powiedział książę.

— Czy sam się nie domyślasz?

— Wcale nie.

— Przecież Canolles ma dwadzieścia siedem lat; jest młody, przystojny, o nic nie dbający. Jakiemuż tedy szaleństwu oddaje on pierwszeństwo?... Rozumie się, że miłości. Niezawodnie zoczył w oberży Biscarroso jaką piękną podróżniczkę i pogonił za nią.

— Zakochany!... Tak sądzisz?... — zawołał książę, uśmiechając się na tę myśl naturalną, że jeśli Canolles zakochany w jakiej podróżnej, to już pewno nie w Nanonie.

— Tak!... bezwątpienia, baron jest zakochany. Nieprawdaż, panie Biscarros? — powiedziała Nanona, ciesząc się, że książę zgadza się z jej myślą. — No, odpowiadaj szczerze: czyż nieprawda?

Biscarros pomyślał, że nadeszła stosowna chwila przypochlebiania się młodej damie, potakując jej, uśmiechnąwszy się więc, otworzył ogromną gębę i rzekł:

— W istocie, być może, że pani masz słuszność.

Nanona na krok posunęła się ku oberżycie i mimowolnie zadrżała.

— Czy nieprawda? — rzekła.

— Tak sądzę, pani — odpowiedział Biscarros.

— Tak sądzisz?

— Tak, w istocie, pani mi otworzyłaś oczy.

— A!... opowiedz nam wszystko, panie Biscarros — zawołała Nanona, czując w sercu budzącą się zazdrość — mów, jakie podróżne zatrzymywały się wczoraj w twej oberży?

— Tak, tak odpowiedz — dodał d'Epennon, rzucając się w krzesło i wyciągając nogi.

— Żadna kobieta nie wstępowała do mej oberży — rzekł Biscarros.

Nanona odetchnęła.

— Zatrzymał się tylko — mówił dalej oberżysta, nie domyślając się, że każdy jego wyraz, jak ołów upadł na serce Nanony — młody szlachcic, blondyn, przystojny, delikatny i pulchny, który nic nie jadł, nie pił i bał się wyjechać w nocy... Szlachcic, bojący się jechać w nocy — dodał Biscarros, potrząsając głową — pan to rozumiesz, nieprawdaż?

— Ha!... ha!... ha!... doskonale — zawołał książę.

Nanona odpowiedziała na ten uśmiech zgrzytnięciem zębów.

— Mów dalej — rzekła do oberżysty. — Pewnie ten młody szlachcic czekał na barona de Canolles?

— Nie, nie, on czekał zkolacją na wysokiego jegomościa z wąsami i nawet dość po grubijańsku obszedł się z panem baronem, gdy ten chciał z nim wieczerzać, lecz mężny baron nie zmieszał się taką drobnostką. Zdaje się, że to jest człowiek śmiały, gdyż po odjeździe wysokiego jegomościa, który udał się na prawo, puścił się galopem za małym szlachcicem, jadącym w przeciwną stronę.

Po tem dziwnem zakończeniu. Biscarros, widząc, że oblicze księcia rozjaśniało się, pozwolił sobie wybuchnąć tak głośnym śmiechem, że szyby w oknach zadrżały.

Książę zupełnie uspokojony, byłby uściskał poczciwego Biscarros, gdyby oberżysta był szlachcicem.

Tymczasem Nanona blada, z konwulsyjnym i lodowatym na ustach uśmiechem, przysłuchiwała się każdemu wyrazowi oberżysty, z ową natężoną uwagą, która nieraz zmusza zazdrosnych do wypicia do dna zabijającej ich trucizny.

— Lecz z czego wnosisz — spytała nareszcie Nanona, — że ten mały szlachcic jest kobietą, albo, że baron de Canolles w niej zakochany i że pojechał do Paryża z innego powodu, a nie z nudów i nie dla rozrywki?

— Z czego o tem wnoszę?... — odpowiedział Biscarros, koniecznie chcąc przekonać swych słuchaczy — zaraz to powiem.

— Mów, mów, kochany przyjacielu — rzekł książę — w istocie jesteś bardzo zabawny.

Książę wyteżył słuch.

Nanona słuchała, zacisnąwszy pięści.

— Żadnego nie miałem podejrzenia i poprostu brałem blond włosego młodzieńca za mężczyznę, gdy wtem spot-

kałem na schodach barona de Canolles, trzymającego w lewej ręce świecę, a w prawej małą rękawiczkę, której wonią zdawał się napawać.

— Ha! ha! ha!... przewybornie! — zawołał książę, coraz bardziej wesoły, w miarę ustępującej z serca zdrości.

— Rękawiczkę! — powtórzyła Nanona, starając się przypomnieć sobie, czy nie pozostawiła podobnego zakładu miłości w rękach kochanka. — Jakąż rękawiczkę? Czy nie taką?

I pokazała oberżyscie jedną ze swych rękawiczek.

— Nie — odrzekł Biscarros — tamta była męska.

— Męska!... A więc baron de Canolles przypatrywał się i napawał wonią męskiej rękawiczki! A! Biscarros, czy oszalałeś?

— Wcale nie, bo chociaż ona należała do przystojnego blond - włosego młodzieńca, który nie pił, nie jadł i bał się jechać w nocy, była przecież tak małą, że ręka pani, pomimo, iż jest tak drobną, zaledwieby w nią weszła.

Nanona wydała jęk, jakby ją ugodził niewidzialny pocisk.

— Sądzę — rzekła z nadzwyczajnem wysileniem — że Wasza książęca mość jesteś już zadowolony, gdyż wiesz wszystko, co chciałeś wiedzieć.

I z zaciśniętymi zębami, drżącemi usty, wskazała palcem drzwi oberżyscie, lecz zdziwiony Biscarros, dostrzegłszy gniew na twarzy młodej kobiety, nic z tego nie rozumiał i stał nieruchomy na miejscu z otwartą gębą i wytrzeszczonemi oczyma.

— Jeśli nieobecność barona — pomyślał oberżysta — jest tak nadzwyczajnem nieszczęściem, to powrót jego byłby wielkiem szczęściem. Pochlebię temu szlachetnemu panu słodką nadzieją, aby miał dobry apetyt. triumfującą postawę i z wdziękiem wystawiwszy prawą nogę naprzód, rzekł:

— Baron odjechał, lecz lada chwila powrócić może.

Książę uśmiechnął się, znajdując słuszną tę uwagę oberżysty i rzekł:

— Prawda, zupełna prawda!... Być może, że już nawet powrócił. Idźno zobacz, panie Biscarros i przynieś mi odpowiedź.

— A śniadanie!... — powiedziała Nanona — umieram z głodu.

— Dobrze — odrzekł książę — zaraz poszlę po nie. Hej!... Courtauvaux, idź do oberży pana Biscarros i dowiedz się, czy baron de Canolles nie wrócił, jeśli go tam nie będzie, pytaj się i szukaj go w okolicach. No, ruszaj! Courtauvaux wybiegł.

Biscarros, zauważywszy kłopotliwe milczenie, panujące od chwili, chciał je przerwać.

— Czy nie widzisz, że pani daje ci znak, żebyś już wyszedł?... — powiedziała doń Franczyneta.

— Chwilkę! chwilkę!... — zawołał książę — cóż u diabła i ty znowu, Nanono, tracisz głowę. A gdzie karta!... Minie także się jeść chce jak i tobie: głód mi dokucza. Chodź no, panie Biscarros, dołącz oto te sześć luidorów do poprzednich: daję ci je za zabawną historję, którąś nam opowiedział.

Następnie, kazał historykowi przemienić się w kucharza, my zaś pospieszamy oznajmić czytelnikom, że Biscarros również odznaczył się w drugim jak i w pierwszym obowiązku.

Tymczasem, Nanona zastanawiała się nad ważnością wiadomości udzielonej jej przez poczciwego Biscarros; a naprzód, czy one są pewne?... następnie, chociaż byłyby i prawdziwe, czy nie należałoby usprawiedliwić barona?

W istocie, jakież to okropny zawód dla tak walecznego szlachcica, ta niedoszła schadzka.

Cóż to za zniewaga dla niego, to szpiegostwo księcia d'Epneron i konieczność jego obecności przy triumfie rywali?

Nanona tak była zakochaną, że przypisując ten nagły odjazd barona słusznej jego zazdrości, nietylko usprawiedliwiała, lecz nawet żałowała barona de Canolles, a co więcej cieszyła się, myśląc, że on jedynie przez miłość dla niej wzbudził tę małą zemstę.

Wszakże osądziła za słuszne w każdym razie mieć się na baczności; a przede wszystkim zniszczyć złe bez śladu, wstrzymać tę miłość w samym jej zarodku.

Tu, straszna myśl przebiegła w głowie Nanony:

— A jeśli to spotkanie barona i młodego szlachcica, czyli przebranej kobiety, już było schadzką!...

Lecz nie, natychmiast się uspokoiła.

Przecież młody szlachcic czekał na wysokiego jegomości z wąsami, po grubjańsku obszedł się z baronem, a nawet i sam Canolles poznał dopiero pleć nieznanomego po małej rękawiczce, przypadkiem znalezionej.

Z tem wszystkiem należy jednak przeszkodzić baronowi.

Wtedy, uzbroiwszy się w całą swą odwagę, powróciła do księcia, który dopiero co kazał odejść oberżyscie, obsypawszy go pochwałami i wydawszy mu kilka rozkazów.

— Co to za nieszczęście — powiedziała Nanona — że trzpiotostwo tego szalonego barona, pozbawi go zaszczytu, jakim go księżę chciałeś obdarzyć!... Gdyby tu był, jego przyszłość byłaby ustaloną; z powodu zaś odjazdu, wiele może stracić.

— A jeśli go znajdziemy?... — rzekł księżę.

— O!... to być nie może — powiedziała Nanona — przecież mu idzie o kobietę, nie prędko on wróci.

— No! cóż każesz mi zrobić, moja kochana? Jak mam naprawić to nieszczęście?... — spytał księżę — młodość szuka rozrywek: Canolles młody, lubi zabawy.

— Ależ ja jestem od niego starszą i rozsądniejszą, sądzę więc, że należałoby położyć tamę jego niewczesnej radości.

— Jakaż to gniewliwa siostra!... — zawołał księżę.

— Być może, że baron w pierwszej chwili gniewałby się na mnie — powiedziała Nanona — lecz później niezawodnie by mi podziękował.

— A więc mów, co chcesz czynić?... Jeśli już masz jaki plan, gotów jestem wykonać go.

— Chciałeś go posłać do królowej z jakąś pilną i ważną wiadomością?

— Tak, lecz cóż, kiedy go niema.

— Trzeba posłać kogo, żeby go dogonił; a ponieważ jedzie do Paryża, sprawa ta w części już nawet załatwioną zostanie.

— Prawdę mówisz.

— Ja to biorę na siebie i Canolles otrzyma rozkaz dziś wieczorem, a najpóźniej jutro rano. Ręczę za skutek.

— Lecz kogóż posłać?...

— Czy potrzebny ci Courtauvaux?

— Wcale nie.

— Pozwól mi go więc posłać za baronem z poleceniami.

— Otóż to dyplomatyczna głowa!... Daleko zajdziesz, Nanono.

— Abym tylko wiecznie uczyła się od mego zachwycającego nauczyciela, nic więcej nie pragnę.

I objęła swemi rękami starego księcia, który aż drgnął z radości.

— A!... co za doskonałego figla wypłatamy baronowi— rzekła Nanona.

Księżę wziął pióro i na kawałku papieru napisał tylko te dwa wyrazy:

„Bordeaux — nie“.

I podpisał się.

Następnie, na kopercie tej lakonicznej depeszy, położył taki napis:

„Do Jej Królewskiej Mości królowej Anny Austrjacciej, Regentki Francji“.

Tymczasem, Nanona napisała trzy wiersze i pokazała je księciu.

Bilecik jej tak brzmiał:

„Kochany baronie!

„Jak widzisz, załączona tu depesza, jest do Królowej“

„Oddaj ją natychmiast, gdyż idzie o zbawienie ojczyzny“.

Twoja przywiązana siostra,
Nanona“.

Zaledwie skończyła ten bilecik, dały się słyszeć na schodach spieszne kroki.

Courtauvaux otworzył drzwi i wszedł do pokoju z wesołym obliczem człowieka, przynoszącego z niecierpliwością oczekiwaną wiadomość.

— Oto baron de Canolles!... spotkałem go o sto kroków stąd — rzekł strzelec.

Nanona zbladła, i rzuciwszy się ku drzwiom, szepnęła:

— A więc, czyż żadnym sposobem go nie uniknę!...

W tej chwili, pojawiła się we drzwiach nowa osoba w przepysznym kostjumie, z kapeluszem w ręku i z przyjemnym na ustach uśmiechem.

ROZDZIAŁ VIII

Gdyby piorun uderzył nad głową Nanony, nie większejby ją nabawił trwogi, jak to niespodziane zjawienie się nowoprzybyłego.. Mimowolnie wypadł z ust jej bolesny okrzyk:

— Znowu on!

— Tak, ja, moja kochana siostrzyczko — odpowiedział tenże niezbyt miłym głosem. — Lecz wybacz mi — dodał, spostrzegłszy księcia d'Epéron — być może, jestem natrętny?

I do ziemi skłonił się gubernatorowi Guyenny, który na jego powitanie odpowiedział życzliwym gestem.

— Cauvignac! — powiedziała Nanona tak cicho, że zdało się, iż wyraz ten wymówiło jej serce, nie usta.

— Witaj, baronie de Canolles — rzekł książę z uśmiechem — twoja siostra i ja, o tobie tylko mówimy od wczorajszego wieczoru, odkąd pragniemy cię widzieć.

— A... chcieliście mnie widzieć! doprawdy? — rzekł Cauvignac, zwracając na Nanonę spojrzenie, malujące ironję i wątpliwość.

— Tak — odpowiedziała Nanona — książę chciał, żebym cię jemu przedstawiła.

— Tylko z obawy, aby nie być natrętnym — rzekł Cauvignac, kłaniając się księciu — nie chciałem prędzej dostąpić tego zaszczytu.

— W istocie, baronie — odpowiedział książę — podziwiałem twą delikatność: lecz z tem wszystkiem miałbym prawo poczynić ci pewne wyrzuty...

— Mnie, Mości książę, mnie chcesz czynić wyrzuty za moją delikatność!

— A tak, bo gdyby twoja dobra siostra, nie zajęła się twoimi interesami...

— A... — rzekł Cauvignac, z wymownym wyrzutem spojrzawszy na Nanonę — a... moja dobra siostra zajęła się interesami...

— Swego brata — dorzuciła Nanona — cóż w tem dziwnego?...

— A dzisiaj, czemuż winienem przyjemność oglądania cię baronie?

— W istocie — rzekł Cauvignac — czemu księżę winien jesteś przyjemność oglądania mnie?

— Czemu? Rozumie się, że przypadkowi, prostemu przypadkowi, który cię wrócił.

— Aha... — pomyślał Cauvignac — zdaje się, że musiałem wyjeżdżać.

— Tak, odjechałeś zły bracie — powiedziała Nanona — napisawszy tylko kilka wyrazów, które jeszcze bardziej moją niespokojność zwiększyły.

— Cóż robić, kochana Nanono? — dodał księżę z uśmiechem — trzeba wybaczać zakochanym.

— Oho! tu coś rzeczy się wikłają — pomyślał Cauvignac. — Zdaje się, że jestem zakochany.

— No — powiedziała Nanona — przyznaj się.

— Alboż ja się zapieram — odparł Cauvignac z zwycięskim uśmiechem, starając się wydobyć chociaż cokolwiek prawdy, aby powiedzieć potem jeszcze większe kłamstwo.

— Dobrze, dobrze — przerwał księżę — lecz już czas jeść śniadanie. Przy niem, opowiesz nam baronie o swoich miłostkach. Franczymeto... podaj nakrycie dla pana barona de Canolles. Sądzę kapitanie, żeś jeszcze nie po śniadaniu?

W samej rzeczy, Mości księżę; przyznam się nawet, że ranne powietrze nadzwyczaj zaostrzyło mój apetyt.

— Powiedz raczej, nocne — rzekł księżę — gdyż całą noc, jak słyszałem, bujałeś po głównym trakcie.

— Na honor! — pomyślał Cauvignac — na ten raz mój szwagier zgadł doskonale.

Potem dodał głośno:

— Tak, tak, przyznaję się nocne powietrze...

— Chodźmyż więc — rzekł księżę, podając rękę Nanonie, i przechodząc do jadalni wraz z Cauvignacem — sądzę, że apetyt wasz będzie miał czemu stawić czoło.

W rzeczy samej, Biscarros przeszedł dzisiaj samego siebie: potraw było niewiele, lecz zato wszystkie wytworne,

sporządzone doskonale. Żółte guyeńskie wino i czerwone burgundzkie, łało się z butelek jak złoto i rubiny.

Cauvignac jadł za czterech.

— Brat twój zajada doskonale — rzekł książę — a ty nie jesz Nanono?

— Już mi się nie chce jeść.

— Kochana siostra! — zawołał Cauvignac — A! ukontentowanie, że mię ogląda, odjęło jej apetyt. Doprawdy, gniewam się nawet na nią, że mię tak kocha.

— Weź-no, Nanono, to skrzydełko pulardy? — rzekł książę.

— Daj go memu bratu, Mości książę — odpowiedziała proszona, widząc, że Cauvignac wypróżnia talerze z nadzwyczajną szybkością; obawiała się bowiem powrotu jego żartów, skoro już nic na talerzu nie będzie.

Cauvignac podstawił talerz i jak najwdzięczniej się uśmiechnął.

Książę włożył skrzydełko na talerz stojący przed Cauvignacem.

— No! cóż porabiasz baronie? — zapytał książę z poufałością, która wydała się Cauvignacowi czarującą przepowiednią miłych następstw. — Nie mówię wszakże o miłostkach.

— Przeciwnie, mów o nich, Mości książę — odpowiedział młodzieniec, któremu medok i szambertin rozwiązały język — zresztą nie obawiał się wcale zjawienia barona de Canolles, co się często wydarza tym, co przybierają cudze nazwiska.

— A!... Mości książę — rzekła Nanona — dobrze on wie, o czem chcesz mówić.

— A więc możemy porozmawiać z nim o owym młodym szlachcicu — zapytał książę.

— Tak — dodała Nanona — o owym młodym szlachcicu, któregoś spotkał wczoraj.

— A! tak na drodze — rzekł Cauvignac.

— A następnie w oberży pod „Złotem cielęcim“! — powtórzył Cauvignac — to prawda.

— A więc rzeczywiście spotkałeś się z nim? — zapytała Nanona.

— Z tym młodym szlachcicem?

— Tak.

— Jakże on wyglądał? no, mów szczerze — spytał książę.

— Prawdę powiedziawszy — odrzekł Cauvignac — był to śliczny młodzieniec, blond włosy, wysmukły; jechał z jakimś masztalerzem.

— Właśnie tak — powiedziała Nanona, przygryzając wargi.

— I jesteś w nim zakochany?

— W kim?

— W tym ślicznym młodzieńcu, jasnowłosym, wysmukłym.

— Co to znaczy?... — spytał Cauvignac. — Co chcesz powiedzieć Mości książę?

— Czy masz dotąd na sercu szarą rękawiczkę? — mówił dalej książę, chytrze się uśmiechając.

— Szarą rękawiczkę?

— Tak, tę samą, której wczoraj w wieczór przyglądałeś się i całowałeś.

Cauvignac już nic nie rozumiał.

— Tę samą z której domyśliłeś się wybiegu, me-ta-morfo-zy... — mówił dalej książę, dobitnie wymawiając każdą sylabę.

Z jednego tego wyrazu, Cauvignac pojął wszystko.

— A!... — zawołał — więc ten szlachcic był przebraną kobietą?... Słowo honoru, domyślałem się tego.

— Niema już wątpliwości — powiedziała do siebie Nanona.

— Daj mi pić, moja siostró — rzekł Cauvignac. — Nie wiem, kto wypróżnił butelkę stojącą obok mnie, lecz w niej już nic niema.

— Dobrze!... Dobrze!... — przemówił książę — można go jeszcze wyleczyć, kiedy miłość nie przeszkadza mu dobrze jeść i pić. Sprawy królewskie nic na tem nie ucierpią.

— Jakto? Sprawy królewskie miałyby uciepnieć przez moją miłość! — zawołał Cauvignac. — O! nigdy! Sprawy królewskie przedewszystkiem!... Sprawy królewskie to rzecz święta! No! za zdrowie króla, Mości książę.

— Można więc liczyć na twe poświęcenie, baronie?

— Na me poświęcenie dla króla?

— Tak.

— Bezwątpienia, że można Czasami dla niego dałbym się porąbać w sztuki...

— To bardzo jest naturalnem — podchwyciła Nanona, bojąc się, aby wzapale powstałym z medoku i szambertina, Cauvignac nie zapomniał swej roli, i nie powrócił do własnej osobistości — bo czyż z łaski księcia nie jesteś kapitanem wojsk Jego Królewskiej Mości?

— Nigdy o tem nie zapomnę — odpowiedział Cauvignac z rzewnem wzruszeniem, kładąc rękę na sercu.

— Później uczynimy jeszcze więcej — rzekł książę.

— Dziękuję, Mości książę, dziękuję!

— Już nawet zaczęliśmy.

— Doprawdy!

— O tak! Jesteś zbyt skromny, mój młody przyjacielu — rzekł książę d'Epemon. — I kiedy tylko będziesz potrzebował protekcji, udaj się do mnie: zwłaszcza teraz, kiedy już nie potrzebujesz chodzić bocznemi drogami, kiedy nie potrzebujesz ukrywać się, kiedy wiem, że jesteś bratem Nanony.

— Odtąd — zawołał Cauvignac — wprost udawać się będę do Waszej książęcej mości.

— Obiecujesz mi to?

— Daję na to moje słowo.

— Uczynisz doskonale. Tymczasem siostra wyjaśni ci o co idzie, i czego żądam od ciebie. Być może, że całe twe szczęście zależy od poselstwa, które ci poruczam za jej wstawieniem. Proś, młodzieńcze, twą siostrę o rady; jest to dyplomatyczna głowa, wspaniałomyślne serce, kochaj ją, baronie a bądź pewny, że zyskasz me względy.

— Mości książę!... — zawołał Cauvignac w uniesieniu — siostra moja wie ile ją kocham, ile pragnę widzieć ją szczęśliwą, sławną i... bogatą.

— Ten zapał twój podoba mi się — rzekł książę — a więc zostań z Nanoną, ja zaś pójdę się zająć pewnym hultajem. Ale, ale, baronie — dodał książę — może będziesz mógł udzielić mi jakich wiadomości o tym rozbójniku?

— Jak najchętniej — odpowiedział Cauvignac. Lecz naprzód muszę wiedzieć, o jakim rozbójniku Wasza książęca mość chcesz mówić. W dzisiejszym czasie mamy ich mnóstwo, a nawet rozmaitego rodzaju.

— Prawda! masz słusność, lecz ten, z którym mia-

łem do czynienia był bardzo czelny podobnego nigdy nie zdarzyło mi się widzieć.

— Doprawdy!

— Wystaw sobie, baronie, nędznik ten w zamian zyskanego zabójstwem listu, który wczoraj siostra pisała do ciebie, wykipił ode mnie blankiet.

— Blankiet, czy być może? Lecz — spytał po chwili Cauvignac naiwnie — na cóż, Mości księżę, potrzeba ci było tego listu siostry do brata?

— Przecież wówczas nie wiedziałem o waszem pokrewieństwie.

— A! prawda.

— A przytem popełniłem to głupstwo — dodał księżę, podając rękę młodej kobiecie — jedynie z zazdrości o ciebie.

— Prawdziwie! byłeś zazdrosnym o mnie. A! Mości księżę, czyż ci nie wstyd tego.

— Dlatego też właśnie chciałem się ciebie spytać, czy nie wiesz, ktoby to mógł być tym donosicielem.

— Nie... Lecz księżę pojmujesz, że podobne czyny nie uchodzą bezkarnie, i prędzej czy później poznasz przestępcę.

— O tak! ani wątpię, poznam go kiedyś — odpowiedział księżę — już nawet w tym względzie przedsięwziąłem środki ostrożności; wolałbym jednak poznać go natychmiast.

— A... — spytał Cauvignac, słuch natężając — i nędznik ten będzie mógł nazywać się prawdziwie szczęśliwym, jeśli go nie powieszają za jego blankiet.

— Oho... — rzekł Cauvignac, — a jakim sposobem Wasza księżęca mość rozróżnisz ten blankiet od innych, które wydajesz?

— Na tamtym zrobiłem znak.

— Znak.

— Dla wszystkich niewidzialny, a który poznam za pomocą działania chemicznego.

— Doskonale! doskonale!... — zawołał Cauvignac — postąpiłeś w tym wypadku, Mości księżę bardzo dowcipnie; należy się tylko strzec, by on się nie domyślił.

— O... niema się czego obawiać; któż mógłby mu to powiedzieć?

— To prawda — odparł Cauvignac. — Nanona nie powie, ja także...

— Ani ja — dodał książę.

— A więc masz słusność, Mości książę; z czasem dowiesz się o nazwisku tego człowieka, a wtedy...

— A wtedy, ponieważ już się z nim skwituję, w zamian bowiem blankietu otrzyma wszystko, co żądać będzie, wtedy... każę go powiesić.

— Amen... — dodał Cauvignac.

— A teraz — mówił dalej książę — czy nie możesz udzielić mi żadnych wiadomości o tym hultaju...

— Nie, bo go nie znam, Mości książę — powiedział Cauvignac tonem przekonywującym księcia o prawdziwości słów jego.

— A więc kiedy tak, zostawiam cię z siostrą.

— Nanono!... — dodał książę, obracając się do niej — wytłumacz mu dobrze moje polecenie, nadewszystko niech nie traci czasu.

— Bądź spokojny, Mości książę.

— A więc, żegnam was!

Poczem książę przyjaźnie pozdrowił ich ręką, zeszedł ze schodów, obiecując powrócić dzisiaj jeszcze.

Nanona odprowadziła księcia do sieni.

— Kroćset djabłów... — pomyślał Cauvignac sam zostawszy — szlachetny ten pan dobrze uczynił, uprzedziwszy mnie... Oho! ależ on nie taki jak się wydaje. Lecz cóż ja zrobię z jego blankietem? Ha! spróbuję sprzedać go jako weksel...

W tej chwili weszła Nanona i zamknąwszy drzwi, powiedziała:

— Teraz panie, porozmawiajmy; trzeba spełnić rozkaz księcia d'Épernon.

— Tak, kochana siostro, — odpowiedział Cauvignac — porozmawiajmy, gdyż ja tu tylko po to przyszedłem; ale żeby było dogodniej rozmawiać, trzeba usiąść. Siadaj więc, bardzo cię proszę.

Cauvignac postawił obok siebie krzesło i wskazał Nanonie, że ono jest dla niej przeznaczone.

Nanona siadła, marszcząc brwi, co wcale nic dobrego nie zapowiadało.

— Przedewszystkiem — rzekła po chwili — dlaczego nie jesteś tam, gdzieś być powinien?

— A! kochana siostró, to wcale niegrzeczne z twej strony pytanie. Gdybym był tam, gdzie być powinienem, nie byłbym tutaj tem samem nie miałabyś przyjemności oglądania mnie.

— Przecież chciałeś wstąpić do zakonu?

— To nie ja; powiedz raczej, że osoby mną się zajmujące, a między niemi ty szczególnie, chcieliście tego; lecz ja sam nigdy nie miałem wielkiego pociągu do stanu duchownego.

Jednak wychowywano cię zupełnie po klasztorne mu.

— Tak, moja siostró i sądzę, że wiele z tego skorzystał — ze śmiechem odrzekł Cauvignac.

— Nie żartuj z rzeczy świętych!

— Ani myślę żartować, kochana siostró, opowiadam tylko. No, posłuchaj: posłałeś mnie do klasztoru w Angoulême na nauki.

— No, cóż dalej?

— Nauki te skończyłem. Umieam po grecku jak Homer, po łacinie jak Cycero, a teologję znam jak Jan Hus. Kiedym u godnych zakonników w Angoulême wszystkiego już się nauczył, przeszedłem od nich, a to według twego życzenia, do Karmelitów w Rouen, aby tam przywdziać suknię zakonną.

— Zapominasz powiedzieć, że obiecawszy ci płacić pensję, rocznie po sto pistoli, danego słowa dotrzymałam. Sto pistoli dla karmelity, zdaje mi się, że było nawet za wiele.

— Nie przeczę temu, moja kochana siostró; lecz pod pozorem, że jeszcze nie byłem karmelitą, zakonnicy ciągle odbierali mi pieniądze.

— Jeśli tak było, czyż nie przysięgłeś, poświęcając się stanowi duchownemu, żyć w ubóstwie?

— Wierz mi, siostró, że ściśle dochowałem przysięgi; trudno było znaleźć biedniejszego ode mnie człowieka.

— Lecz jakżeś wyszedł z ich klasztoru?

— A! Jak Adam z raju ziemskiego; nauka mnie zgubiła, byłem zanadto mądrym, kochana siostró.

— Byłeś zanadto mądrym. Co to ma znaczyć?

— Tak było w istocie. Posłuchaj: oto między karmelitami, którzy wcale nie mają sławy Erazmów, Dekartów, uchodziłem za cud, ma się rozumieć mądrości. Gdy ksiązę Longueville przyjechał do Rouen, by skłonić to miasto na stronę parlamentu, wysłano mnie naprzeciw księcia, abym

miał do niego mowę. Polecenie to spełniłem tak wymownie, że ksiązę de Longueville nietylko, że był z tego bardzo zadowolonym, lecz nawet zapytał mnie, czybym nie chciał zostać jego sekretarzem. Było to właśnie wtenczas, kiedym miał złożyć śluby.

— Tak, przypominam sobie, i nawet pod pozorem, że masz się wyrzec świata, prosiłeś mnie o sto pistoli, które oddałam w twe własne ręce.

— Na uczciwość, tylko te sto widziałem.

— A więc powinieneś się być wyrzec świata.

— Taki był mój zamiar, lecz inaczej zrządziła Opatrzność: obrała mi stan inny, nie chcąc widać, żebym został mnichem. Podałem się woli łaskawej Opatrzności i muszę wyznać, wcale tego nie żałuję.

— A więc już nie jesteś karmelitą?

— Nie, przynajmniej na teraz, kochana siostró. Nie śmiem powiedzieć ci, że nigdy nie wrócę do klasztoru, któż bowiem może powiedzieć dziś, co jutro robić będzie. Pan de Rance założył zakon Trapistów, być może i ja pójdę za jego przykładem i wynajdę jaki nowy zakon. Lecz teraz zakosztowałem rzemiosła wojennego, które na jakiś czas uczynił ze mnie człowieka świeckiego i nieczystego; przy najpierwszej jednak sposobności postaram się oczyścić.

— Tyś wojskowy?... — spytała Nanona, wzruszywszy ramionami.

— Dlaczegożby nie? Nie powiem ci, że jestem Dunoisem, Bayardem, rycerzem bez skazy i trwogi; nie, nie jestem tyle dumnym, bym miał mówić, że nie zasługuję na żadne zarzuty i nie spytam się jak znamienity bandyta Sforza: co to jest strach? Jestem człowiekiem i jak mówi Terencjusz:

„Homo sum, et nihil humanum a me alienum puto“.

— Co znaczy:

„Jestem człowiekiem i wszystko, co ludzkim jest, obcem mi nie jest“.

— Jestem tchórzem o tyle, o ile człowiekowi być nim wolno; co jednak nie przeszkadza mi w potrzebie być odważnym.

— Kiedy jestem zmuszony, dość zręcznie robię szpadą i pistoletem.

— Lecz z natury czuję prawdziwą skłonność do dyplo-

macji i albo się bardzo myślę, kochana Nanono, albo będę kiedyś wielkim politykiem.

— Co to za piękne powołanie polityka!

— Spójrz-no na Mazariniego: on daleko zajdzie, jeśli go tylko... nie powieszą.

— Ze mną to samo, co z Mazarinim; dlatego też jednej się tylko rzeczy obawiam: żeby mię nie powieszono.

— Na szczęście w tobie mam nadzieję, kochana Nanono, a sama ta myśl, dodaje mi śmiałości i odwagi.

— A więc jesteś wojskowym?

— I w potrzebie dworzaniem. A! wiele skorzystałem u księcia de Longueville.

— I cóżeś się tam nauczył?

— Tego, czego się można nauczyć na dworze książąt: wojować, intrygować, zdradzać.

— I do czegoż cię to doprowadziło?

— Do najświetniejszego położenia.

— Któreś utracił?

— Cóż robić? Przecież księżę de Condé stracił również swoje. Nie my rządźmy wypadkami, lecz wypadki nami. Kochana sestro! czemkolwiek jestem, rządziłem jednak Paryżem!

— Ty?

— Tak, ja!

— Jak długo?

— Przez trzy godziny i trzy kwadransy, według najdokładniejszej rachuby.

— Tyś rządził Paryżem?

— Jak cesarz.

— Jakże się to stało?

— Bardzo prostym sposobem. Wiesz, że koadjutor pan de Gondy, to jest opat de Gondy...

— Wiem, wiem!

— Był wyłącznym panem stolicy. W tym właśnie czasie służyłem u księcia d'Elboeuf. Jest to książę Lotaryngski, nie jest więc wstydem służyć jemu. W tym czasie, książę d'Elboeuf był w nieprzyjaznych stosunkach z koadjutorem. Dlatego więc zrobiłem ruch na korzyść księcia d'Elboeuf i wziąłem do niewoli...

— Kogo? Koadjutora?

— Nie jego, nie wiedziałbym bowiem, co z nim robić,

a z tego powodu byłbym w wielkim kłopotcie. Wziąłem tylko jego kochankę, pannę de Chevreuse.

— Ależ to okropne!... — zawołała Nanona.

— Nieprawdaż, to okropne, że ksiądz ma kochankę? Właśnie toż samo pomyślałem. Dlatego też postanowiłem porwać ją i uprowadzić tak daleko, żeby opat nigdy się już z nią nie mógł zobaczyć. Oznajmiłem mu ten mój zamiar, lecz człowiek ten ma na zawołanie tak przekonywujące dowody, że żadną miarą opierać się im nie można. Ofiarował mi tysiąc pistoli.

— Biedna kobieta! Targowano się o nią...

— Jakto! Owszem, to jej powinno było sprawić przyjemność, to dowiodło jej, ile ją kocha pan de Gondy. Tylko duchowni są tak poświęcający się dla swych kochanek, co, sądzę, stąd pochodzi, iż im to jest zakazanem.

— A więc jesteś bogatym?

— Ja?... — spytał Cauvignac.

— Można się przecież zbożać na takich rabunkach.

— Nie wspominaj o tem, Nanono, jakoś mi się nie poszykowało! Garderobiana panny de Chevreuse, której nikt nie pomyślał wykupić, a która tym sposobem musiała pozostać u mnie, zabrała mi wszystkie te pieniądze.

— Sądzę, że przynajmniej zyskałeś przyjaźń tych, którym służąc, pomagałeś do znieważenia koadjutora.

— A! Nanono, widać, że zupełnie nie znasz książąt! Książę d'Elboeuf pojednał się z koadjutorem. W przymierzu, jakie między sobą zawarli, mnie złożyli na ofiarę. Byłem więc zmuszony wejść na żołąd kardynała Mazariniego, lecz Mazarini jest wielkim tchórzem, zresztą nie wynagradzał mnie stosownie do usług. Postanowiłem wzniecić nowy rozruch na cześć radcy Brousset, mający na celu zniszczenie kanclerza Séguier; lecz moi ludzie, niezręczni głupcy, zniszczyli go tylko wpołowie. W tej utarczce narażony byłem na straszne niebezpieczeństwo. Marszałek de la Meillaire wystrzelił do mnie z pistoletu o dwa kroki, na szczęście uchyliłem się, kula przeszła mi ponad głową, a sławny marszałek zabił jakąś starą babę.

— Co za stek okrucieństw!.. — zawołała Nanona.

— Nie, kochana siostró, to są tylko konieczności wojny domowej.

— Teraz wszystko rozumiem: człowiek, zdolny do podobnych czynów, mógł zrobić to, coś ty zrobił wczoraj.

— Cóżem ja zrobił?... — spytał Cauvignac naiwnie.

— Ośmieliłeś się oszukiwać tak znakomitego człowieka, jakim jest książę d'Epéron! Lecz czego nie mogę pojąć, o czembym nigdy nie pomyślała, jest to: aby brat, obsypany memi dobrodziejstwami, mógł z tak zimną krwią powziąć myśl zgubienia swej siostry.

— Ja chciałem zgubić moją siostrę?... Ja?... — spytał Cauvignac.

— Tak, ty!... — odpowiedziała Nanona. Nie potrzebowałam słuchać twoich opowiadań, które dowodzą, żeś do wszystkiego jest zdolnym, odrazu bowiem poznałam charakter pisma. No, patrz! może zaprzeczysz, żeś nie ty pisał ten list bezimienny?...

I oburzona Nanona pokazała bratu list, który książę oddał jej wczoraj w wieczór.

Cauvignac przeczytał go, nie zmieszawszy się wcale.

— No — rzekł — cóż masz przeciwko temu listowi? Czy źle napisany? Gdybyś tak sądzić miała, mocnoby cię załował; widać, nie poświęcasz się literaturze.

— Nie idzie tu o styl listu, lecz o treść jego. No, powiedz, ty, czy kto inny pisał ten list?

— Ja się wcale nie zapieram, bo gdybym się chciał tacić, byłbym zmienił charakter pisma; lecz to byłoby bezużyteczne, nigdy bowiem nie miałem zamiaru ukrywać się z tem; chciałem nawet byś poznała, że ja list pisałem.

— O!... — rzekła Nanona z widoczną odrazą — a więc się przyznajesz!

— Muszę ci wyznać, moja siostrze, że do kroku tego skłoniła mnie zemsta.

— Zemsta?

— Jak najnaturalniejsza!

— Mścić się nade mną, nieszczęśliwy! Ależ pomyśl co mówisz! Cóżem ci tak złego uczyniła, że myśl zemsty przysłała ci do głowy?

— Coś mi uczyniła? A! Nanono, postaw się na mojem miejscu i chciej posłuchać: Opuszczam Paryż, gdyż tam miałem za wielu nieprzyjaciół, a podobne nieszczęście spotyka wszystkich polityków; w potrzebie udaję się do ciebie, błagam o pomoc. Czy przypominasz sobie? odebrałaś trzy moje listy. Nie powiesz, żeś nie poznała mego charakteru pisma. Listy te pisała ta sama ręka, co i bezimienny bilecik; zresztą, wszystkie były podpisane przeze mnie

Piszę trzy listy i w każdym z nich proszę cię o sto nędznych pistoli! Tylko sto pistoli! a ty masz miliony! Była to bagatela, lecz wiesz, że sto pistoli, to moja zwykła liczba. No i cóż? Siostra nie odpisała. Sam osobiście przedstawiam się jej; siostra mnie nie przyjmuje. Naturalnie, staram się dowiedzieć, co to znaczy? Być może, mówię do siebie, ona sama jest w smutnem położeniu, albo też nie jest wolną. Ha!... pomyślałem, w takim razie należy jej wybaczyć, a nawet biedz z pomocą, jeżeli tej potrzebować będzie, dziękując Opatrzności, że nadeszła chwila przekonania jej, że dobrodziejstwa, które mi świadczyła, nie padły na ziemię nieurodzajną. Widzisz! serce moje już cię usprawiedliwiało; gdy przypadkiem dowiaduję się, że moja siostra jest wolną, szczęśliwą, bogatą, nawet bardzo bogatą i że jakiś baron de Canolles, człowiek obcy, przywłaszcza moje prawa i zamiast mnie, otrzymuje od niej opiekę. Wtedy, zazdrość zawróciła mi głowę.

— Powiedz raczej chciwość pieniędzy. Sprzedałeś mnie księciu d'Épernon, jak sprzedałeś pannę de Cheuvreuse koadjutorowi. Zresztą, co to ciebie obchodzi, proszę cię, w jakich zostają stosunkach z baronem de Canolles?

— Mnie!... nic. Nie troszczyłbym się nawet o to, gdybyś była nie zrywała ze mną stosunków.

— Czy wiesz, że gdybym powiedziała jedno słowo księciu d'Épernon, gdybym mu wszystko wyznała szczerze, zginąłbyś?

— Zapewne!!!

— Dopiero co słyszałeś z jego własnych ust, jakie gotuje przeznaczenie temu, co wykupił od niego blankiet.

— Nie mów mi o tem! Drżałem jak liść, gdy się książe odgrażał; potrzebowałem nawet użyć całej władzy jaką mam nad sobą, by się nie zdradzić — powiedział Cauvignac, drwinkując z uwag siostry.

— I nie obawiasz się okropnych następstw mego wyznania, ty, coś sam przyznał, że znasz strach.

— Nie, niczego się nie boję, gdyż to szczerze wyznanie dowiodłoby, że baron de Canolles nie jest twym bratem; a wtedy wyrazy twego listu, pisanego do człowieka obcego, przyjęłyby nie zupełnie czyste znaczenie. Daleko lepiej będzie, jeżeli wyznasz wszystko nieszczerze, jak to przed chwilą uczyniłaś. Niewdzięczna siostrzo! nie mogę powiedzieć, bez zastanowienia, gdyż znam cię bardzo do-

brze. Chyba nie pomyślałaś, ile wyniknie korzyści z tej małej kłótni, za mojem staraniem przygotowanej. Naprzód, znajdowałaś się w kłopotliwym położeniu, i drżałaś na myśl pojawienia się barona, który nie będąc uprzedzonym, strasznieby ci zagmatwał twój mały familijny romans. Przeciwnie, moje przybycie ocaliło wszystko. Twój brat nie jest już tajemnicą. Księżę d'Épernon uznał go, i trzeba wyznać, bardzo uprzejmie. Teraz, brat nie potrzebuje już ukrywać się, gdyż należy do familji; teraz możesz pisywać do niego, widywać się z nim za domem, a nawet i u siebie w domu. Niech tylko twój brat z włosami i oczyma czarnymi, strzeże się spotkać z księciem d'Épernon twarz w twarz. Zresztą, wszystkie płaszcze są podobne do siebie, i gdy księżę zobaczy, że od ciebie wychodzi ktoś w płaszczu, któż mu powie czyj ten płaszcz: brata, czy też jakiego obcego człowieka? Otóż teraz jesteś wolną jak wiatr! Tylko z chęci usłużenia ci, musiałem zmienić nazwisko; nazywam się Canolles, co mi wcale nie na rękę. Powinnaś więc być mi wdzięczną za moją ofiarę!

Nanona zdziwiona, nie wiedziała jak odeprzeć ten potok słów, utwór bezczelności nie do uwierzenia.

Cauvignac, korzystając ze swej wymowy i wyższości, jaką w tej chwili miał nad Nanoną — mówił dalej nie zatrzymując się:

— Nawet, kochana siostró, teraz, kiedy złączyliśmy się znowu po tak długiej rozłące; kiedy po tylu przeciwnościach znalazłaś prawdziwego brata, przyznaj, że odtąd będziesz spać spokojnie, pod tarczą jaką cię miłość jego osłoni, będziesz żyć tak szczęśliwie, jak gdyby cała Guyenna cię uwielbiała, gdy jak wiesz, jest zupełnie przeciwnie, lecz tutejsza prowincja musi ulec naszym żądaniom. W rzeczy samej, zamieszkać u ciebie, księżę zrobi mnie pułkownikiem! Zamiast sześciu ludzi, będę miał pod rozkazami dwa tysiące! Z temi dwoma tysiącami ludzi, wznowię wspomnienie o dwunastu najznakomitszych dziełach Herkulesa. Zrobią mnie księciem i panem, to moja przyszłość — a twoja... oto księżna d'Épernon umrze, a jej nieutulony w żalu małżonek, ożeni się z tobą.

Po tej przemowie, Cauvignac wstał, przeszedł z napuszczoną miną po pokoju, czekając jaki ona skutek wywrze na Nanonie.

Ta po krótkiej chwili odzewała się:

— Jeżeli chcesz, abym wszystko zataiła przed księciem, dobrze; stanie się podług twojej woli, lecz przedewszystkiem kładę dwa warunki.

— Jakież, kochana sestro? Mów, słucham cię.

— Naprzód, zwrócisz księciu blankiet, gdyż w przeciwnym razie będziesz wisiał. Wszak słyszałeś wyrok wyrzeczony jego własnymi ustami. Następnie, wyjedziesz stąd natychmiast, czego jeśli nie dopełnisz, możesz mnie zgubić, co wiem, dla ciebie jest niczem—wszelako i tobie zgutować może nieszczęście, ostatni powód, sądzę, zmieni ci myśl zgubienia mnie.

— Odpowiem na oba punkty: blankiet, należy do mnie jako niezaprzeczona własność, ty zaś nie możesz zabronić mi iść na szubienicę, jeśli mi się tak podobać będzie.

— A więc rób jak chcesz!

— Dziękuję! Lecz bądź spokojną, wisieć nie będę. Przed chwilą mówiłem ci, jaki wstręt czuję do tego rodzaju śmierci, pomimo to zachowuję blankiet, lecz może masz chęć kupienia go, jestem gotów do tej sprzedaży.

— Nie potrzebuję. Wielka rzecz... blankiet? Ileż ja sama takich wydaję.

— Szczęśliwa Nanono!

— Więc go sobie zostawiasz?

— A tak.

— Nie zważając cokolwiek z tego wyniknąć może?

— Nie obawiaj się, już wiem, gdzie go umieścić, co się zaś tyczy, aby stąd wyjść, nie popełniłbym w tem błędu, gdyby nie rozkaz księcia polecający mi tu pozostać. Powiem ci jeszcze, iż chcąc się mnie pozbyć, zapominasz o najgłówniejszej rzeczy.

— O czemże?...

— O tem ważnem poleceniu, o którym wspominał książę, co ma zapewnić przyszłość moją.

Nanona zbladła. Po chwili namysłu, rzekła:

— Nieszczęśliwy!... przecież wiesz, że nie ty masz spełnić to polecenie. Wiesz dobrze, że to nadużycie byłoby zbrodnią, zbrodnią, któraby prędzej czy później ściągnęła na cię zasłużoną karę.

— Ja też nie chcę go nadużywać. Chcę tylko korzystać z niego.

— Zresztą, w depeszy napisano, że polecenie to porucza się baronowi de Canolles.

— A czyż ja nie tak się zowie?

— Tak możesz się przedstawiać tym, co cię nie znają pod nazwiskiem barona de Canolles, lecz u dworu znają nietylko jego nazwisko, ale i jego osobę. Baron de Canolles często bywa u dworu.

— Doskonale!... Od czasu, jak zaczęliśmy rozmawiać, pierwszy raz słuszną zrobiłaś uwagę; widzisz, że teraz zgadzam się z tobą siostrzyczko.

— Przytem znajdziesz tam swych politycznych nieprzyjaciół — powiedziała Nanona — i to być może, że twa osoba jest tam tyle znaną, co barona de Canolles, pod innym wszakże względem.

— O! nicby to nie znaczyło, gdyby polecenie jak powiedział książę, w istocie miało na celu zbawienie Francji. Ważność poselstwa wybawiłaby od nieszczęścia państwa. Usługa tak ważna pociąga za sobą łaskę, a przebaczenie przeszłości jest zawsze pierwszym warunkiem zmian politycznych. Wierzaj mi więc, kochana siostrzo, że nie ty mnie, lecz ja tobie winienem kłaść warunki.

— No i jakież?...

— Przedewszystkiem, jak dopiero co mówiłem, pierwszym warunkiem każdego przymierza jest: przebaczenie zupełne.

— A potem?

— Uregulowanie naszych rachunków.

— Więc jestem ci dłużną?

— Winna mi jesteś sto pistoli, o które cię tak prosiłem, a których odmówiłaś mi bez litości.

— Oto dwieście.

— To co innego! Teraz dopiero poznaję cię, Nanono!

— Daję ci je, lecz pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?... słucham?...

— Że naprawisz złe, któreś zrobił.

— Bardzo sprawiedliwie... Cóż więc mam czynić?

— Siądziesz natychmiast na koń i pojedziesz drogą paryską; musisz bowiem dogonić barona de Canolles.

— A więc utracam swój tytuł?

— Zwrócisz go baronowi.

— I cóż mu mam powiedzieć?

— Oddaj mu oto tę depezę i przekonaj się, czy po jej odebraniu uda się natychmiast do Paryża.

— Czy już wszystko?

— Wszystko.

— Czy on ma wiedzieć, kto ja jestem?...

— Przeciwnie, potrzeba ażeby tego nie wiedział.

— A!... Nanono!... czy wstydzisz się swego brata?...

Nanona nie odpowiedziała, głębokiej oddając się zadumie.

Po chwili rzekła:

— Lecz jakim sposobem przekonam się, że wiernie spełnisz moje polecenie? Gdyby choć cokolwiek było dla ciebie świętego, zażądałabym przysięgi.

— Zrób lepiej...

— Co takiego?

— Po spełnieniu tego polecenia, dasz mi sto pistoli.

Nanona wzruszyła ramionami.

— Zgadzam się wreszcie... — odpowiedziała.

— Pamiętaj — rzekł Cauvignac. — Nie wymagam od ciebie przysięgi i wierzę twemu słowu. A więc oddasz sto pistoli temu, który ci wręczy kwit barona de Canolles, ma się rozumieć, za moją wiedzą.

— Dobrze; lecz mówisz o trzeciej osobie jakbyś nie miał zamiaru sam powrócić?...

— Któż może wiedzieć?... Ważna sprawa wzywa mię w okolicy Paryża.

Nanona nie mogła ukryć oznaki mimowolnej radości.

— A!... to wcale niegrzecznie — rzekł Cauvignac ze śmiechem. — Lecz mniejsza o to, kochana siostrzo, rozstajemy się jak przyjaciele.

— Tak, tak; lecz wyjeżdżaj czempredzej.

— Zaraz, zaraz. Pozwól mi tylko wypić strzemiennego.

Cauvignac wylał do szklanki resztę szambertynu z butelki, ukłonił się siostrze z uszanowaniem, wskoczył na konia, i za chwilę zniknął w tumanie kurzu.

